Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 6 — Poznań, dnia 20 marca 1935 — Rok V

O historyku Bogumile Trzcińskim

Wywiad z Adolfem Nowaczyńskim

Z ramienia Redakcji „Głosu“ mam „robić“ wywiad z Adolfem Nowaczyńskim, który przyjechał na parę dni do Poznania. Posiadam oto w zanadrzu wiązkę mniej lub więcej ciekawych, intrygujących, ważnych zapytań, które chcą się dopełnić odpowiedzią. Pnę się na III piętro „Continentalu“ o umówionej porze (10-ta rano). Nowaczyński siedzi przy stoliku, pyka z fajki, popija kawę, a właściwie coś pisze. Muszę powiedzieć, że przedewszystkiem czuję jeden niedostatek: moje poczucie hierarchji między Nowaczyńskim a mną nie może znaleść odpowiedniego wyrazu. Wyraz jest jeden: pan. Ale dawniej mówiło się inaczej: Mistrzu, panie Poeto, panie Autorze, a i dzisiaj mówi się do pewnych ludzi: Ekscelencjo, Ministrze, Profesorze, Doktorze, Mecenasie — i wtedy jakoś każdy czuje się na swojem miejscu. Wobec zaś pisarzy nasze konwencje dziwne wykazują ubóstwo: dają nam tylko do dyspozycji jedno, małe, skromne, szare, nic nie znaczące — pan. I jak tu nie wyzywać na demokratyzm!...

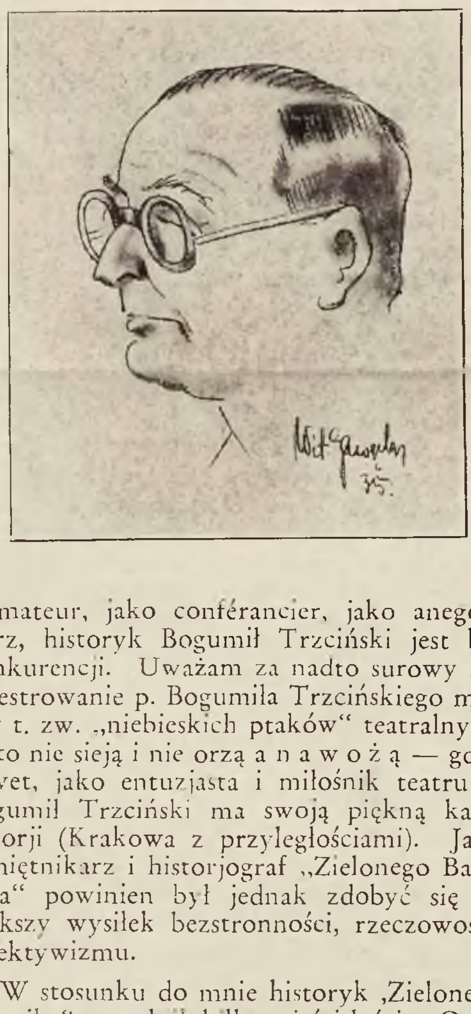
Stało się jednak, że moje poczucie hierarchji całkowicie doznało satysfakcji... Nowaczyński bowiem odrazu powiedział mi, że wywiadu właściwego nie da, w takich wypadkach nie ma nic do powiedzenia, a zdań i sądów konwencjonalnych, ugrzecznionych, nieszczerych, nic nie znaczących, jakie wypowiadają ludzie przybywający z kądś do kądś — mówić nie ma zwyczaju. Tak, teraz to już jest naprawdę hierarchja... Ale proponuje mi jedną rzecz. Właśnie dyrektor Teofil Trzciński miał onegdaj w Pałacu Działyńskich prelekcję o „Zielonym Baloniku“, w związku z którą miałby coś niecoś do powiedzenia, coś niecoś do skorygowania, tembardziej, że potrącono o jego nazwisko.

Oczywiście, godzę się na to jak najchętniej, bo czuję, że będzie to rewelacja. Wiec nie trudno mi było odebrać moim zamierzonym zapytaniom głos — tembardziej, że rekompensata została zapewniona. Tak więc znajduję się w równowadze, która mi umożliwia niczem nie zamąconą recepcję tego, co mówi Nowaczyński:

— Powiedział dyr. Trzciński, że niby Nowaczyński nazwał „Zielony Balonik“ serwilistyczną jaczejką konserwy krakowskiej. Ja to podtrzymuję. Ale przedtem muszę przypomnieć historykom „Zielonego Balonika“, że wykreślają mój w nim współudział. Otóż przed kabaretem „Zielonym Balonikiem“ był „Teatr pod Marchołtem“, który założył Szyfman zemną, jako kierownikiem literackim. Był to kabaret na dużym poziomie. W jednoaktówkach występowała gwiazda trupy, Marja Przybyłko - Potocka. Nie można „Marchołta“ bagatelizować, bo trwał dwa miesiące — i rozbił się, rozleciał, rozsypał. Wtedy zkolei nudę krakowską zabijać począł „Zielony Balonik“, który był niczem innem jak tylko d a l s z y m c i ą g i e m z b a n k r u t o w a n e g o „T e a t r u p o d M a r c h o ł t e m“. O tem trzeba pamiętać.

Dalej, Bogumił Trzciński zbagatelizował Jana Augusta Kisielewskiego, który „Balonikowi“ patronował, a potem się pokłócił z ojcem ideowym, promotorem „Zielonego Balonika“, Bogumiłem Trzcińskim.

Ja potrafię zdobyć się na bezstronność wtedy, kiedy mnie to nic nie kosztuje, a dobre robi wrażenie. Ze wszystkich ludzi koło teatru p. Bogumił Trzciński jest jednym z najlepszych i najzasłużeńszych. Ukochanie o k o ł o teatru imponujące. Ma duże zasługi, jako wagnerysta, apostoł muzyki wagnerowskiej, jako czarujący causeur. Natomiast Bogumił Trzciński, jako reżyser, człowiek w ś r o d k u teatru był i jest wielkiem nieporozumieniem, któremu on nic nie jest winien. Zestawienie nazwiska p. Schyllera z „dyrektorem“ Trzcińskim jest paradoksem. Natomiast, jeszcze raz — jako causeur, jako



animateur, jako conférancier, jako anegdociarz, historyk Bogumił Trzciński jest bez konkurencji. Uważam za nadto surowy sąd regestrowanie p. Bogumiła Trzcińskiego między t. zw. „niebieskich ptaków“ teatralnych, co to nie sieją i nie orzą a n a w o ż ą — gdyż nawet, jako entuzjasta i miłośnik teatru p. Pogumił Trzciński ma swoją piękną kartę historji (Krakowa z przyległościami). Jako pamiętnikarz i historjograf „Zielonego Balonika“ powinien był jednak zdobyć się na większy wysiłek bezstronności, rzeczowości, objektywizmu.

W stosunku do mnie historyk ‚Zielonego Balonika“ popełnił kilka nieścisłości. O ile mnie bowiem pamięć nie myli, aczkolwiek mieszkałem stale w Warszawie, to jednakże w pierwszym sezonie „Zielonego Balonika“ do Krakowa na premjery przyjeżdżałem i wesołą instytucję swojemi produktami zasilałem. Przyznawali to pierwsi monografiści „Zielonego Balonika“ — a dopiero następni ze względu na benefis państwowotwórczy ten współudział mój coraz więcej zatajają. Pozwolę sobie przypomnieć czarującemu conférancierowi długą polemikę wierszowaną z Boyem na t. „Kobiety w Polsce“, dalej wiersz o Sienkiewiczu („Gdy Henio miał 20 lat“), włączony do żelaznego repertuaru Michalikowej Jamy“. Pozwolę sobie przypomnieć, że genjalna trójca hultajska urządziła dwukrotnie dla mnie prywatne recytacje tych programów, na których nie mogłem być obecny. O ile mnie pamięć nie myli, to „ku czci“ mojej urządzono raz specjalny wieczór, na który Boy napisał swoją świetną „Pieśń o kasztelanie i sowizdrzale“. Dlaczegoż więc z roku na rok tak tendencyjnie historycy i pamiętnikarze współudział mój ograniczają do minimum? Gdzie leży powód tego?

Otóż powód tego leży w s e r w i l i ź m i e, w serwiliźmie, do którego trenowano właśnie tę całą grupę, biorącą w „Zielonym Baloniku“ udział. Wbrew poglądom znakomitego historyka Bogumiła twierdzę nadal, że „Zielony Balonik“ nie był bastjonem jakiejś niepodległej, niezależnej myśli twórczej, ale, że był instytucją wesołkową, rekreacyjną, patronowaną i kontrolowaną przez Szwarcgelberski, austrjacki, serwilistyczny „Czas“. Aby unieszkodliwić satyryczno - rewolucyjny rozpęd młodych talentów, aby ich obezwładnić, redakcja „Czasu“ przemądrze, zmyślnie i chytrze położyła obie ręce nad tym kabaretem, by się właśnie w jego programy nie wcisnęło coś dosłownie, dynamicznie niezależnego, niepodległościowego, za wolnością tęskniącego. Jeżeli to była opozycja, to była opozycja Jego Cesarskiej Mości Ekscelencji Bobrzyńskiego i prezydenta Lea. Jest w tem pewne podobieństwo do dzisiejszej warszawskiej satyry szmoncesowej, t. zn. młodym, utalentowanym, miejscami genjalnym Żydom wolno wyśmiewać Żydów, ale w ten sposób, żeby Żydzi na widowni się zaśmiewali i wracali do domu rozweseleni i zadowoleni. Jak dzisiaj szmoncesy, tak wówczas robiono „witze“ na tematy austrjackie, ale w granicach takiej poprawności, że „Ekscelencja Szwarcgelber mógł się zaśmiewać z piosenki o sobie tak, jak w Warszawie od lat 10 zaśmiewa się Izydor Szwarcgelber, gdy śpiewają piosenkę o Kohnie. Niechżeż więc znakomity historyk Trzciński nie bluffuje teraz nasze ekscelencje „sanacyjne“ i gościnny Poznań tem, że w Jamie Michalikowej przy konjakach („wiśniówkach“) urodziła się także idea niepodległościowa, i że cyganerja krakowska od Michalika wymaszerowała w pełnym rynsztunku do Oleandrów. Rozdymać jeszcze więcej rolę „Zielonego Balonika“ w dziejowości przedwojennej Polski już nie należy, gdyż „Balonik“ może wreszcie pęknąć, rozszerzając woń nieprzyjemną. Kabarecina krakowska była doskonalem antidotum na piekielną przedwojenną nudę podwawelskiej dziury, ale żadną podchorążówką jako żywo nie była. Siłę jej natomiast można stwierdzić i przez to, że jeszcze teraz, po dwudziestu latach, z eksploatowania wspomnień i reminiscencyj tej miłej intelektualnej knajpy można wyczynić sobie lukratywny proceder (po polsku d o b r e zyski).

Historyk Bogumił Trzciński ma wielkie zasługi w tem, że nadal podsyca reklamę polskiego Chat-noir'u, ale niepotrzebnie zaprzecza (w co sam nie wierzy) temu, że „Zielony Balonik“ był poprostu filją, Benjaminkiem dépendanse „Czasu“ i austrjackiego światopoglądu. Wzruszający jest jako patrjota krakauerski i jako emisarjusz tej specjalnej, krakowskiej jezuicko - masońsko - kabaretowej mafji, wszędzie wszystkiem dyrygującej. Cieszę się bardzo, że czarujący Teofilek na gościnnych występach w Poznaniu zyskał takie aplauzy, ale przyznam się, że sala Pałacu Działyńskich nie powinna być terenem takich wokalnych popisów, gdyż, gdyby się to jeszcze raz powtórzyło, Działyńscy zaczną się przewracać w grobach.

— Tyle, tak i to mówił Adolf Nowaczyński. Patrzę na jego twarz wyrazistą, jakby rzeźbioną, twarz intelektualisty, i żałuję w duchu, że nie jestem karykaturzystą. Z za zamkniętych okien dochodzą odgłosy wrzawy dzieciarni szkolnej. Raz po raz odzywa się telefon. Patrzę na Nowaczyńskiego i myślę, że oto jest człowiek tamtych czasów, tamtej epoki, tamtego życia, który ani na chwilę poza te predyspozycje nie wykraczając, jednak tak wspaniale nakłada się z naszemi czasami, naszą epoką, naszem życiem, i znajduje, tak wtedy jak i dzisiaj, w społeczeństwie rezonans o jednakiem nasileniu. Tak, ale o tem wszystkiem już nie człowiek decyduje, lecz jakaś inna, wyższa siła, jakiś żywioł, jakaś władza — Sztuka.

ALEKSANDER ROGALSKI

W numerze:

FRANCISZEK STRZAŁKO, KRAKÓW

Za zachodnim kordonem

Wrażenia z podróży po Śląsku Opolskim

Kilka tygodni temu musiałem w celach naukowych dokonać objazdu kilkudziesięciu starych drewnianych kościołów na Śląsku Opolskim i Cieszyńskim czeskim.

Zaraz na wstępie zwrócił moją uwagę nowy okazały dworzec w Bytomiu: Niemcy dbają o to, by Ślązacy, przybywający z Polski na terytorjum pozostawionem Niemcom, byli od początku pod jaknajlepszem wrażeniem. A trzeba przyznać, że pierwsze wrażenia zwykle są najsilniejsze i decydują zazwyczaj o dalszych.

Po zwiedzeniu Bytomia, przybyłem do Opola. W niejednem naszem miasteczku znacznie mniej znajdzie się szyldów z polskiemi nazwiskami, niż tu. Same „Przybylla" (Przybyła), dwa „l" w miejsce nieistniejącego w niemieckiej pisowni ł, Jankowski, Sosnowski, Zając, Wilczek, Dziony itp. Nad Odrą, na wzniesieniu, wśród niewielkiego parku dumnie wznosi się wieża dawnego zamku piastowskiego. Tuż koło niej na tem samem wzniesieniu szeroko rozparł się nowy okazały gmach regencji opolskiej. Widocznie Niemcy chcą tu współzawodniczyć z wspaniałym gmachem urzędu wojewódzkiego w Katowicach i stąd ta budowla, bardziej wprawdzie nowoczesna od tamtej, lecz nie mająca ani w małej części równie reprezentacyjnego charakteru. Dość powiedzieć, że, zobaczywszy ją po raz pierwszy od strony promenady nadodrzańskiej, wziąłem ją za jakąś nową fabrykę i dopiero widok urzędowego orła poprowadził moje domysły we właściwym kierunku.

Wykorzystując konjunkturę polityczną, postanowiłem zgłosić się do regencji, do konserwatora zabytków sztuki, celem zapoznania się z materjalami, posiadanemi przez czynniki urzędowe. Przedstawiłem cel mej podróży i zaznaczyłem przezornie, że niedawno miałem przyjemność poznać w Krakowie paru historyków sztuki z Wrocławia, którzy właśnie obecnie objeżdżają Polskę w celach naukowych.

Zdaje się, że ta ostatnia wzmianka miała decydujące znaczenie przy uzyskiwaniu pozwolenia na objazd Śląska. Jak się bowiem okazało, niezależnie od paszportu, trzeba było osobnego zezwolenia od władz politycznych na podróżowanie po terytorjum regencji opolskiej. Wyrabianie tego zezwolenia zajęło około 4 dni. Wypytywano mię troskliwie o stosunek do służby wojskowej, o to, czy byłem kiedy na Śląsku, czy i gdzie walczyłem w czasie wojny itd. Poproszono mnie też o sporządzenie dokładnego planu podróży z oznaczeniem, gdzie będę w jakich dniach przebywał.

Zaznaczono przytem uprzejmie, że podanie takiego dokładnego planu jest w moim własnym interesie, władze bowiem muszą wiedzieć, gdzie będę znajdował się każdego dnia, by w razie jakichś trudności przyjść mi z pomocą. Czwartego dnia nastąpiła uroczysta wymiana dokumentów: Herr Landrat podał mi piśmienne zezwolenie na podróże po Śląsku, a ja równocześnie wręczyłem mu dokładny plan tej podróży. W udzielonem zezwoleniu oznaczono dokładnie i oszczędnie czas, w którym wolno mi było przebywać na Śląsku Opolskim (zapewne też w moim własnym interesie).

W imię sprawiedliwości muszę zaznaczyć, że w czterodniowym okresie starań o zezwolenie, nie pozwolono mi tracić czasu. O ile tylko nadarzyła się sposobność, konserwator zabierał mnie swem autem i pokazywał interesujące zabytki, które mogłem oglądać i fotografować dowoli.

Szczególnie gościnnie przyjęło mnie miasto Gliwice. Autem miejskiego wydziału propagandy zawieziono mnie do Poniszowic, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszych drewnianych kościołów górnośląskich. Towarzyszył mi jeden z urzędników miejskich, Ślązak umiejący po polsku. W Poniszowicach przyjęli nas proboszcz i wikary. „Większość moich parafjan mówi po polsku, mówił proboszcz, ja sam mam do nich kazania w tym języku". Po obejrzeniu kościoła i zrobieniu zdjęć zostałem zaproszony na plebanję, gdzie przy kolacji spędziliśmy czas na rozmowie mieszanej polsko - niemieckiej, poczem wróciłem do Gliwic.

W Opolu wszedłem w kontakt także z Polakami. W „Gospodzie Polskiej", dokąd chodziłem na obiady poznałem pana B., jednego z kierowników polskiej spółdzielni „Robotnik", znanej na całym Śląsku. Jest to jedyna instytucja, obok dwóch polskich banków, która posiada polskie szyldy i napisy. Polskość musi się tu tak ukrywać, że nawet taka „Gospoda" i Związek Polaków w Opolu nie mają żadnej wywieszki na ulicy. Dopiero w sieni na drzwiach są niewielkie tabliczki. O prywatnych przedsiębiorcach niema co mówić. Tylko nazwiska mówią o ich polskości. W Raciborzu wszedłem do jednego takiego sklepu. Na wiadomość, że jestem z Polski, ucieszyli się bardzo, zaczęli mówić po polsku i rozpytywać, co u nas się dzieje.

Pan B. prosił mnie, bym zatrzymał się w Raciborzu, skąd mieliśmy objechać samochodem okoliczne miejscowości, posiadające drewniane kościoły. Po zbadaniu więc powiatu opolskiego niezwłocznie skierowałem się do Raciborza. Był piękny dzień jesienny, gdy sunęliśmy doliną granicznej Odry w stronę Zabełkowa, jednej z paru wiosek, położonych w trójkącie granicznym Polska - Czechosłowacja - Niemcy. Po lewej stronie widać wzgórza należące już do Polski, w oddali majaczą Beskidy. Potoczyła się swobodna rozmowa na tematy, których omawianie w innem miejscu przerywane było ciągłem „ściany mają uszy". „Tu wszędzie sami prawie Polacy, tylko przestraszeni", informuje mię mój gospodarz w przejeździe przez wsie, ciągnące się wzdłuż szosy.

„W okresie powstania teror niemiecki w tych stronach był bardzo silny; bodaj tylko w powiecie oleskim było więcej mordów, aniżeli u nas". Następują opowiadania: „W każdej wsi mordowali, tu księdza, tam świeckiego działacza. Oto przejeżdżamy koło krzaków przydrożnych, gdzie znęcali się nad jednym z nich przed śmiercią".

Stopniowo ziemia opolska zaczyna mi pokazywać właściwe swoje oblicze, bardziej tragiczne, aniżeli to, które widzi z okien wagonu tłum wycieczkowiczów, jadących masowo do Berlina z okazji „nowej ery w stosunkach polsko - niemieckich".

— Jak przedstawiają się obecne stosunki w polskiem szkolnictwie? pytam.

— Tak, że w ubiegłym roku z 25 publicznych szkół powszechnych pozostało 9.

— Jakie są bezpośrednie przyczyny tego stanu rzeczy?

— Rodzice, posyłający dzieci do szkoły polskiej, stają się odrazu obywatelami drugiej klasy. Wszelkie rozstrzygnięcia władz pójdą w kierunku dla nich niekorzystnym; jeśli to będą robotnicy, przy pierwszej sposobności pozbawi się ich pracy; instytucje gospodarcze będą w miarę możności wywierać na nich odpowiedni nacisk ze swojej strony itd. Pozatem robi się jeszcze w ten sposób: do szkoły polskiej daje się mimo protestów rodziców jaknajgorszego nauczyciela: pijaka, który często sam nie zna dobrze polskiego języka; wyposaża się tę szkołę niedbale, a równocześnie w tej samej wsi zakłada się w z o r o w ą szkołę niemiecką, będącą u władz oczkiem w głowie. I ta metoda jest bodaj skuteczniejsza od poprzedniej, gdyż rozsadza polską szkołę od wewnątrz, podważając jej autorytet wśród Polaków, mimo całej świadomości wielu z nich, dlaczego tak się dzieje. W tych warunkach niejeden ustępuje, a przez to oczywiście osłabia się pozycja pozostałych. I tak liczba polskich szkół maleje, tylko dlatego, że „Polacy sami nie chcą posyłać do nich swoich dzieci", jak mówią Niemcy. Ten stan rzeczy trwa nadal po wszystkich urzędowych proklamacjach przyjaźni tak, jak po proklamacjach przyjaźni o d m ó w i o n o praw gimnazjum polskiemu w Bytomiu.

W każdej wsi zwraca uwagę pomnik wystawiony poległym w wojnie światowej. Pomnik taki stoi zwykle koło kościoła, lub gdzieś na rozstaju dróg, na miejscu, którego nie można przeoczyć. Pomniki te są przeważnie całkiem nowe i stoją nieraz na wysokim poziomie artystycznym. Niesposób jest przejść koło nich i nie rzucić okiem na nazwiska poległych. Są one tak wypisane, że mimowoli przykuwają oko. Oczywiście same polskie nazwiska. Na każdym pomniku jakaś sentencja o śmierci bohaterskiej za ojczyznę. Często osobno wymienieni są polegli z każdego roku wojny.

Oprócz pomnika w każdym kościele znajduje się jeszcze osobna tablica z nazwiskami poległych, a często także z ich fotografjami. Parę razy tablice takie widziałem nadto w gospodach. W Niemczech niema więc „nieznanego żołnierza, poległego za ojczyznę". Każdy jest z n a n y, o każdym się pamięta. Podobno Hitler położył specjalny nacisk na stawianie pomników poległym w każdej wsi. Trzeba przyznać, że ta wdzięczność, ta cześć, okazywana przez Niemcy tym, którzy za nie padli, musi niewątpliwie oddziaływać na umysły Ślązaków i zbliżać ich do państwa, w którem mieszkają. W zrozumieniu niebezpieczeństwa, jakie tkwi w tem dla polskości, uświadomione jednostki toczyły walkę o nieumieszczanie na pomnikach żadnych sentencyj o „Heldentod für Vaterland", walka ta jednak zwykle była przegrywana. Raz tylko we wsi Radów, w powiecie oleskim zauważyłem pomnik, na którym nie było tych patrjotycznych dodatków.

Ostatnio, niezależnie od nacisku zewnętrznego, który nie ustaje, dla polskości za kordonem wyłoniło się nowe niebezpieczeństwo w postaci siły atrakcyjnej hitleryzmu. W czasie trzytygodniowej wędrówki po kilkudziesięciu miejscowościach Śląska, odniosłem wrażenie, że Hitler jest popularny. Rozumiem, że mało kto odważyłby się krytykować go, nikt jednak nie miał potrzeby wobec mnie, obcego obywatela, zachwalać.

Raz tylko napotkałem w powiecie strzeleckim polskiego właściciela gospody, nawiasem mówiąc całej obwieszonej flagami ze swastyką i plakatami propagandowemi, który przekonawszy się, że jestem Polakiem, nie taił swego prawdziwego stanowiska do hitleryzmu. Był to jednak wyjątek. Z reguły wszyscy (mówię o Polakach) zachwalali Hitlera z w ł a s n e j i n i c j a t y w y, choć nie wypytywałem się o stosunki polityczne. „Teraz mamy porządek, — mawiano, dawniej każdy robił, co chciał". „Mielibyśmy bolszewizm, jak Rosja, gdyby nie ten" — mówił ktoś, pokazując wyciągniętą z kieszeni małą podobiznę Hitlera. „On jest człowiekiem z ludu i ludowi pomaga" — powiadał inny. Takie i tem podobne sądy słyszałem na każdym kroku.

I tak dwie germanizacje: starego i nowego typu napierają bezustannie na Polaków śląskich. A Polaków tych są jeszcze wciąż niezliczone masy. Cała wieś mówi po polsku od Raciborza na południu po Kluczbork i Byczynę na północy i od granicy polskiej na wschodzie aż poza Odrę na zachodzie. Nietylko jednak wieś: ileż razy w mieście usłyszy się polską mowę. Czasem zdumienie ogarnia, jakim cudem można było nadać tak zdecydowanie niemiecki wygląd tak bardzo polskiemu krajowi. Jakiej bezwzględności, ileż to gwałtu, podstępu i przemocy trzeba było w tym celu użyć. Nieraz, słysząc grupę ludzi mówiących po polsku, zwracałem się do nich w ich języku. Odpowiadali prawie zawsze po niemiecku. Dopiero przekonawszy się, że jestem niewątpliwie Polakiem, wdawali się ze mną w polską rozmowę. Dla większości mowa polska jest tylko do użytku wewnętrznego, wśród rodziny i najbliższych znajomych. Na zewnątrz nie należy jej używać, bo można narazić się. Muszę jednak zaznaczyć, że ku wielkiej mej radości spotkałem po wsiach parę starszych osób z miejscowej ludności, które po niemiecku wcale nie umiały. Tacy jednak na Śląsku Opolskim to już o s t a t n i M o h i k a n i e.

Jedynem miejscem publicznem, gdzie polskość otwarcie się wypowiada jest kościół. I tu też zresztą toczy się walka.

Dawniej dużo było księży Polaków, którzy ze swoimi parafjanami tworzyli jedną narodową rodzinę. Dziś wypadki takie należą do rzadkości. Osobiście spotkałem się tylko z jednym w powiecie kozielskim. Niejeden kapłan zginął za polskość, jak np. ksiądz Marks ze Starego Olesna, którego zmasakrowane zwłoki wraz ze zwłokami innego Polaka, naczelnika stacji w tejże miejscowości, spalono w gazowni kluczborskiej dla zatarcia śladów.

Większość księży Polaków z a s t ą p i o n o o d d a w n a Niemcami. Uczy się ich jednak języka polskiego, by mogli wygłaszać kazania i spowiadać po polsku. Rzecz jasna nie s ą oni czynnikami ochrony polskości. Słyszałem jednego z nich na kazaniu odpustowem w Księżym Lesie w powiecie gliwickim perswadującego bardziej porywczym germanizatorom (w związku z zajściami, jakie niedawno miały tam miejsce spowodu niezadowolenia Niemców z kazań polskich), że pewnych rzeczy, to jest germanizacji, nie można przeprowadzić gwałtem, lecz tylko powoli i stopniowo.

A więc cel ten sam - zniemczenie, tylko inne sposoby. Tem niemniej faktem jest, że w kościele słowa polskie i pieśń polska rozbrzmiewają głośno i swobodnie. Napisy polskie widnieją często na haftach kościelnych i obrazach, a wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej przywieziony przez pielgrzymkę z Jasnej Góry jest najpotężniejszym b e z p o ś r e d n i m łącznikiem ziemi opolskiej z Macierzą.

Nieraz, odpoczywając w kościele po zajęciach, spoglądałem na ten wizerunek z wypisanemi słowami „Pod Twoją Obronę" i oblężenie Jasnej Góry przez Szwedów kojarzyło mi się z tem oblężeniem przez niemczyznę, jakie wciąż po dzień dzisiejszy odpiera Śląsk Opolski. I wówczas narzucało się pytanie, kiedy Polska będzie mogła przyjść na odsiecz Śląska? Czy wytrzyma on napór niemczyzny do tego czasu? Czy walka toczona obecnie nie jest czasem zgóry skazana na zagładę, a to zwłaszcza teraz, gdy Polska odzyskała częściowo to, co jej się należało, a Niemcy przypuszczają ostateczny szturm do ziem, które im pozostały, by raz na zawsze wykluczyć wszelką myśl nawet o ponownej rewizji na rzecz Polski?

Oczywiście odpowiedź na te pytania nie mogła natychmiast się nie narzucić. Jeśli Śląsk przetrwał tyle wieków, to dlaczegóżby należało właśnie teraz, po pierwszych zwycięstwach zrezygnować z dalszej walki? Atuty, posiadane w obecnej powojennej dobie, w postaci niepodległego państwa i obszarów śląskich już do Polski wcielonych, są zbyt cenne, by można było je marnować. W tych warunkach walka o polskość Śląska ma dziś większą rację bytu, niż kiedykolwiek dotąd.

A jeśliby ostateczne zwycięstwo nieprędko miało nadejść, to tymczasem ziemia opolska pełnić winna wytrwale pożyteczną i doniosłą rolę, przedmurza państwa polskiego na zachodzie.

W ten sposób razem z ludnością pogranicza, Pomorza Zachodniego, Warmji i Mazurów w łącznej sile p r z e s z ł o m i l j o n a P o l a k ó w - a u t o c h t o n ó w stanowić ona będzie po tamtej stronie granicy znakomitą przeciwwagę dla miljona napływowego elementu niemieckiego, rozsianego po Polsce. Dzięki temu państwo nasze mieć będzie nadal moralne podstawy do parcia na zachód nierównie silniejsze, aniżeli Niemcy na wschód.

Polskie wyznanie wiary

Że przez duszę polską płynie współcześnie obok wielkich mętów czysty, górski potok twórczości z pokładów w i c z n e g o p o k a r m u n a r o d u, każe wierzyć książka Michała P a w l i k o w s k i e g o „W i e r z ę w j e d n e g o B o g a". Rodowody filozoficzne poglądów religijnych są tylko dowodami erudycji badacza lub twórcy dzieła. Wyrażają one tylko czas, środowisko i atmosferę powstania poematu lub dzieła religijnego, pozwalają odbyć akcesorja etyczne i estetyczne, jakie stwarzają epoki wokół jednej wiary.

Zresztą filozofja jest to najczęściej konstrukcja nowej religji, bardzo rzadko w całości oryginalnej, a zawsze roszczącej sobie prawo do nieomylności. Czy był kierunek filozoficzny, któryby nie stworzył Boga lub absolutu i dróg wiodących do niego?

Polska wiara nie jest filozofją. . Wierzymy w Boga j e d y n e g o. W i e r z y m y „w radość natury i sens bytu". „Czemże jest ludzki rozum? Wiem tylko, że tak być powinno i że tak właśnie jest dobrze, — choć mam na oczach popiół i chociaż mam w ustach piołun . . ." W tej wierze naszej jest nie rozum, ale uczucie, które nie pozwala nie wierzyć rozumowi, jest w niej „radość natury" i jest w niej „umiłowanie życia".

Nie stanowi dla Polaków tajemnicy Boska natura, lecz duch religijny obleka się w kształty ziemskiej natury i szuka w sobie cech swojego narodu. I kiedykolwiek się dusza polska do Boga modliła, o Polsce myślała: w „Improwizacji", „Księgach narodu", „Anhellim", „Wyzwoleniu"... „Już widzę łańcuchy gór, widzę już białe miasta . . . i już podemną Polska, moja własna Polska się rozrasta!".

Głęboka, dziecięca, miłość przez łzy Boga rodzi w duszy polskiej bezmierne ukochanie swej ziemi i narodu. A ziemia wedle słów Artura Górskiego „oczyszcza duszę i dźwiga ją". I nie odrywa się dusza, lecąca ku Bogu, od ojczyzny doczesnej, choć ziemia cała jest „jak pył w nieskończoności", lecz patrzy aż do łez na mały jej punkcik na „swoją własną Polskę".

Nie jest przypadkiem, że Polak wierzy i wierzyć musi. Bo dzielność w czynie broni świętości w duchu; a świętość w duchu budzi moc dzielności w czynie. I z obu naród wytwarza wiarę w siebie". (Słowa Górskiego z „Dróg do kultury").

Polską twórczość cechuje związek z ziemią. Religja jest nutą naczelną w polskiej twórczości. Oba te czynniki pozwalają poznać, czy dzieło należy do naszej literatury narodowej. Otóż „Wierzę w Boga" Pawlikowskiego jest p r z e d n i m p o e m a t e m n a r o d o w y m. Jego piękno pozwoli odczuć tylko przeczytanie poematu — modlitwy. Jest w nim wiara i wszystkie barwy polskiej ziemi.

Jan Bielatowicz, (Kraków).

ADAM MARCINKOWSKI, LUBLIN

ILUZJE STATYSTYCZNE

Uwagi

Dla sprawy narodowej nie jest kwestją obojętną, czy i w jakiej mierze będziemy mogli rozbudowywać nasz obszar etnograficzny w kraju. Jest to zagadnienie, które z czasem musi być rozwiązane planowo i bez wahań. Dziś mamy obowiązek spojrzeć na tę sprawę z otwartemi oczyma, sprostować błędne przekonania, płynące z różnych źródeł, by później nie spotkać się z rozczarowaniami. Każdy odcinek jutra Polski musi zastać nas przygotowanemi.

Przejdziemy do kwestji bezpośrednio nas interesującej. „Na obszarze ziem, wchodzących w skład dawnej Litwy historycznej i należących z nią razem do końca XVIII wieku do Rzplitej układ stosunków narodowościowych ma tak swoisty i tak dotąd nieustalony charakter, że dotychczas poznany mógł tylko być w linjach ogólnych“. (E. Maliszewski: „Polski spis ludności na Ziemiach Wschodnich z grudnia 1919 r., „Wschód Polski“, nr. 10—11 z r. 1920).

Mamy do dyspozycji, co do tego terenu, cyfry tendencyjne spisu rosyjskiego z r. 1897 i dane zestawienia narodowościowego ludności spisu Zarządu Centralnego Ziem Wschodnich z grudnia 1919 r. i I-go ogólnopolskiego spisu ludności z września 1921 r.

Wspomniane 3 spisy dają nam obszerny materjał do wniosków. Niestety nie możemy korzystać ze spisu, przeprowadzonego przez niemieckie władze okupacyjne na obszarze t. zw. „Ober - Ostu“, gdyż nie zostały one opublikowane. Również nie możemy przytoczyć cyfr II-go spisu ludności z dnia 9 grudnia r. 1931, którego urzędowo jeszcze nie ogłoszono*). Z enuncjacyj, które przedostały się do opinji publicznej, wiemy, że wyniki przezeń ujawnione nie odbiegają w głównych zarysach od danych, wykazanych przez spis z r. 1921.

Interesują nas szczególnie terytorja obecnych województw: wileńskiego, nowogródzkiego i poleskiego, z wyłączeniem celowem wschodnich powiatów województwa białostockiego, a mianowicie: 1) grodzieńskiego, 2) sokólskiego, 3) wołkowyskiego, 4) białostockiego i 5) bielskiego, jako należących już dziś do niespornych obszarów etnograficznie polskich, gdzie większe (Grodno i Bielsk), lub mniejsze grupy białoruskie nie mogą i nie odegrają żadnej roli.

Najmniej płynny charakter stosunków narodowościowych posiada wojew. wileńskie, gdzie świadomość i poczucie łączności etnicznej kończy swój dziejowy proces w masach, niewątpliwie na korzyść naszą. Dosadniej i przejrzyściej zilustruje powyższe zdanie tabelka, gdzie według kolejnych spisów podany jest procent Polaków:

*) Główny Urząd Statystyczny rozpoczął ostatnio publikowanie wyników spisu z dn. 9 grudnia 1931 r. powiatami. Red.

Nazwa powiatu		Spis 1897	Spis 1919	Spis 1921
Brasław		27.9	52.6	69.8
Dzisna	obecnie: Dzisna Postawy	32.0	38.7	43.5
Wilejka	Wilejka Mołodecz.	31.5	30.2	42.2
Święciany		44.3	44.2	—
Oszmiana		53.1	68.2	—
Miasto Wilno		37.8	56.1	—
Wilno	obecnie 1 powiat	51.7	87.3	—
Troki		26.2	53.8	—

Cyfry przytoczone wymagają dodatkowego wyjaśnienia. Powiaty: Święciany, Oszmiana, Wilno, Troki i Wilno - miasto nie podlegały spisowi z r. 1921, gdyż jako t. zw. Litwa środkowa inkorponowane zostały ustawą z dnia 6 kwietnia 1922 r. Tem niemniej ich oblicza narodowego nie zdołał nawet podważyć spis rosyjski z r. 1897. Charakterystyczna zmiana, która zaszła w powiecie trockim tłumaczy się przyłączeniem gmin zachodnich, o przewadze elementu litewskiego do państwa kowieńskiego. Natomiast znaczne jeszcze odchylenia sygnalizują cyfry w brasławskiem. Różnice te są jednak pozorne. Spis rosyjski dotyczył powiatu jeziorskiego, gubernji kowieńskiej (nie miałem danych, dotyczących gmin, które w r. 1919 weszły w skład powiatu Brasław). Jak powyżej stwierdzono powiat Brasław, utworzony w r. 1919 różnił się terytorjalnie od tegoż powiatu, branego pod uwagę przy spisie w r. 1921 (o 6 gmin powiatu Iłłukszta, które do dziś dnia bezpośrednio są w posiadaniu Łotwy. Na mocy układu wojskowego zostały owe gminy odstąpione chwilowo Łotwie dla zabezpieczenia twierdzy Dynaburg podczas inwazji bolszewickiej w r. 1920. Należy dodać, że traktatu granicznego z Łotwą nie mamy i prędzej czy później te kwestje wypłyną).

Powiaty Dzisna i Wilejka wykazują stabilizację, co potwierdza dodatkowo liczba Polaków wykazana w r. 1921 w powiecie Duniłowicze (obecnie Postawy z pewnemi zmianami — utworzonym z części powiatów dziśnieńskiego i wilejskiego), — a określona na 43,7 proc. Późniejsze zmiany granic administracyjnych oczywiście sytuacji narodowościowej nie zmieniają**).

**) Publikację wyników spisu ludności z 9 grudnia 1931 r. zaczął Główny Urząd Statystyczny od powiatów województwa wileńskiego. Ogłoszono już dane dotyczące wszystkich powiatów tego województwa z wyjątkiem samego miasta Wilna.

Te dane statystyczne potwierdzają jeszcze silniej uwagi autora artykułu w sprawie polskości województwa wileńskiego. Cyfry wykazują bowiem, że ta połać kraju posiada zdecydowaną i poważną większość polską, bowiem blisko *60* procent (dokładnie 58,8%) jego ludności podało przy spisie, jako swój język ojczysty, język polski.

I tak w poszczególnych powiatach procent Polaków przedstawia się jak następuje: Mołodeczno — 38,9, Oszmiana — 81,2, Dzisna — 39, Brasław — 65,6, Postawy — 48, Wilejka — 45,47, Święciany — 53,2, Wilno — Troki — 84,2. Red.

Województwo nowogródzkie jest już znacznie więcej płynne i nieskrystalizowane. I ponownie tabelka z wskaźnikiem procentu Polaków przedstawi nam to zagadnienie dokładnie.

Nazwa powiatu		Spis 1897	Spis 1919		Spis 1921
Lida	obecnie Lida i Szczuczyn	54.2	76.0		76.0
Słonim		10.3	30.8		31.7
Nowogródek		10.8	14.4		34.9
Mińsk,	którego półn. i zach. połacie weszły w skład Rzplitej.	28.7	28.9	Wołożyn	69.1
				Stołpce	68.8
Słuck,	którego zach. gminy weszły w skład Polski	10.6	6.3	Nieśwież	38.9
Baranowicze	część pow. nowogródzkiego i słonimskiego	—	—		42.8

Tutaj zaczyna się budzić sceptycyzm. Specjalne zastrzeżenia stwarzają cyfry powiatów stołpeckiego i wołożyńskiego. Czy cyfry te oddają rzeczywisty narodowy charakter ludności, czy mamy tu do czynienia tylko z Polakami „papierowemi“, dla których właściwym kryterjum przy spisie z r. 1921 była przynależność do religji rzymsko - katolickiej, identyfikowanej powszechnie na Kresach z polskością?

Czyż tych samych wrażeń nie doznajemy, zestawiając sytuację pow. nowogródzkiego, nieświeskiego i baranowickiego, tembardziej, że kwestja katolicyzmu na tych obszarach nie odgrywa roli — jest to domena prawosławia. Czy w imię prawdy nie wolno nam zapytać, jaki wpływ na kształtowanie się chwilowe wypowiedzenia się ludności w r. 1921 przy spisie miała potężna sugestja triumfu naszego oręża nad Rosją w r. 1920?

Wszystko są to czynniki, które skłaniają nas do twierdzenia, że najbliższym rzeczywistego stanu rzeczy był spis z r. 1919 — spis zaś z r. 1921 dostarczał nam danych, któremi można się było upajać, — ale na nich budować nie wolno. Stwierdzenie tego faktu nie odsuwa nas ani na chwilę od tezy, że obszar Nowogródczyzny musi się znaleźć w orbicie bezwzględnej polityki asymilacyjnej narodowo - polskiej.

Wypada jeszcze omówić Polesie, ten kraj naszych nadziei kolonizacyjnych (po zmeljorowaniu i etapowem osuszeniu, zgodnie z raportem zaproszonych expertów Ligi Narodów, opracowanym przed kilku laty) — kraj egzotyczny. Spis z r. 1921 dostarczył tutaj materjału statystycznego wprost „dziwacznego“. Tabelka poniższa objaśni nas w sytuacji i procencie Polaków w tem województwie.

Nazwa powiatu	Spis 1897	Spis 1919		Spis 1921
Brześć	6.7	21.3		31.1
Prużany	8.1	11.6		44.1
Kosów Poleski (część prużańskiego)	—	—		17.1
Kobryń	2.9	15.2		61.8
Duchniczyn (część kobryńskiego i pińskiego)	—	—		14.5
Pińsk	4.6	4.3		18.9
Mozyrz (którego zachodnia połać weszły w skład Rzplitej.)	3.5	3.7	Łuniniec	19.2
			okl. Łuniniec i Stolin	
Kamień Koszyrski (wydzielony z powiatu Kowel, województwa wołyńskiego)	—	—		10.1

Przy skrupulatnym rozbiorze przytoczonych cyfr rzuca się w oczy, niespotykana dotąd rozpiętość — wprost fantastyczna — w danych dotyczących Polaków tego obszaru.

Zwracają przedewszystkiem uwagę powiaty

	1897	1919	1921	
Kobryń	2.9	25.2	61.8	w ciągu jednego pokolenia lat 24 1897 — 1921
Prużany:	8.1	11.6	44.1	
Brześć:	6.7	21.3	31.1	

Terytorjum to wyłącznie ludnościowo prawosławne, argument katolicyzmu odpada zatem. Główny nacisk należy położyć na analfabetyzm i ignorację mas, które w swem stadjum rozwojowem nie osiągnęły jeszcze etapu różnicowania się narodowego, a dla których nazwa „tutejsi“ (znana spisom) jest typową.

Stąd płynie wniosek, że na podobnych cyfrach nie wolno tworzyć iluzji o prawdziwem obliczu Polesia. Jest to w większości składu ludnościowego „tabula rasa“ — celowa polityka narodowa zjednoczy tę połać Rzeczypospolitej w jeden masyw narodowo-polski.

Dziś jednak sugestja tych nierealnych liczb sprowadza bezkrytyczne wykreślanie naszych domen etnograficznych (vide mapy E. Romera!) Może to być dość popularnym sposobem dla odzwierciedlenia sytuacji w kraju (na jednym odcinku) dla zagranicy, nie może jednak u s y p i a ć i w p r o w a d z a ć n a s w b ł ą d, nas samych Polaków. Przygotowując się do jutra, budujmy na prawdzie.

WŁ. SADOWSKI

Spotkanie

Stanął krzyż na rostaju, przy nim wyrosły tarnie
I pod opieką ramion szczerniałych uciekł się głóg —
Wyszedłem na spotkanie — może mnie tu przygarnie
Marnotrawnego syna — Bóg.

Bo szukam Go tak dawno chcę widzieć jego ciernie
I gwoździe wbite ręką ludzką do nóg i rąk,
Aby raz na mnie spojrzał — raz jeden miłosiernie
I złożył na mą duszę część mąk.

JAN BIELATOWICZ, KRAKÓW

Pamiętnik szlachecki

Wyszła bardzo piękna książka — Melchiora W a ń k o w i c z a „S z c z e n i ę c e l a t a“. Jest to widać wyjątkowy pamiętnik, który w dzisiejszych czasach doczekał się nadzwyczaj szybko drugiego wydania. Pisze autor o swojem dziele: „Dalibóg można by porobić efektownie zatytułowane rozdziały. Nie chcę. Nie systematyzowaliśmy życia, poco systematyzować książkę? G a d a m o c z e m c h c ę“. „Szczenięce lata“ są zatem swobodnym pamiętnikiem, jeszcze luźniejszym w kompozycji jak np. „Pamiętniki“ Paska, bo zatarty jest w nim nawet układ chronologiczny. Autor opisuje ziemię, życie i zdarzenia takie tylko, jakie widział i jakie z mgły dzieciństwa jego pamięć wypatrzeć zdołała. Przeżywany z Wańkowiczem „szczenięce“ lata i wierzymy, że to życie najprawdziwsze.

Jest tylko jedna rzecz nowa — czas. Z niego płynie krynica przeczystego języka, z niego nowa karta dziejów i z jej powodu smutna, jak chyba wiatr w puszczach litewskich, tęsknota.

Nikogo nie naśladuje ani na cal Wańkowicz, na nikogo poza najbliższymi nie powołuje się, owszem z dumą regjonalną i z dumą kresowca spogląda na współplemieńców, jest szczerym, prawdziwym, w państewko swego dworu wrosłym sarmatą sprzed wieków, szlachcicem na zagrodzie, którego z macierzą łączy tylko język, miłość i obrona kraju. Wszystko inne miało samorząd w dworach szlacheckich. Nawet sądownictwo (aż po wiek XX).

Więc Wańkowicz nic nie kopjuje. Mówi on w swej książce o atawizmach, o rasowych instynktach, które są nieświadomie i spontanicznie u ludzi jednej rasy i obyczaju odzywają. I czyż można się oprzeć porównaniu tych słów.

„Życia dawnego niema.
Musiało odejść.
Rozumiem.
Ale żal“.

I jeszcze: „A wkoło Polska szumi“ z najpiękniejszą modlitwą polskiej duszy: „Litwo, Ojczyzno moja . . .“ Jest w pamiętniku Wańkowicza ta sama kochająca tęsknota, te same łzy męskie, ten sam humor i duma z rzeczy drobnych i śmiesznych.

Ale te rzeczy są wielkie przez dwie przyczyny: „Was unsterblich im Gesang soll leben, muss im Leben untergehen“ i przez wspaniałość ich opisu. Język Wańkowicza jest pyszny, bogaty, kapiący od ozdób szczeropolskich i regjonalnych (białoruskich), prawdziwy, prosty, jak kruszec jeszcze nie całkiem dobyty. Niema tu naciągnięcia strun opisu aż do sztuczności, owszem ten język robi wrażenie, że jego właściciel ma większe bogactwa na składzie i tylko hojną ręką daje kosztowności, nie przebierając. W a ń k o w i c z s t a j e s i ę n o w y m w i e l k i m s t y l i s t ą p o l s k i m.

„Szczenięce lata“ są pamiętnikiem dziecięcych lat szlachcica ziemianina, chowającego się we dworze kresowym w otoczeniu białoruskiem na przełomie wieku XIX i XX wśród tradycyj starej, całą gębą szlachty rycerskiej.

Dzieło rozpada się na dwie części, zatytułowane: „Nowotrzeby“ (w Kowieńszczyźnie) — opis życia w dworze z tradycją i rzeczywistością matrjarchatu i „Kałużyce“ (w Mińszczyźnie) — życie wśród wrzątku szlachty o przewodniej idei — rycerskiej. Szlachtę tę, znaną nam z wielu powieści, np. z nadzwyczaj wiernej „Pan Jędrzej Piszczalski“, Dygasińskiego, przedstawia Wańkowicz zupełnie wiernie, a więc nie gloryfikuje jej, lecz wytyka palcem jej lenistwo, nieuctwo, dziwactwo, awanturniczość, nawet wynaturzenie, które każdego choć trochę dotknęło. Przez tę wierność państwa zwyczaju, przez złoty humor, przez jowialność i satyryczność stał się Wańkowicz najlepszym odtwórcą zmierzchu polskiej szlachty. Jest trochę tej samej nuty w „Hani“ Sienkiewiczowej.

Legenda roku 63 przewija się, jak przez ogromne pokłady polskiego powieściopisarstwa (ostatnio Dąbrowska), krwawą nicią przez „Szczenięce lata“. Ostatnie daty historyczne, to ornaty z „Przeglądem Wszechpolskim“, wielka wojna i rewolucja, która zmiotła z ziemi ostatnie polskie dwory kresowe. I wreszcie: „obolałe mam stopy od chodzenia po kamienistych i pokrętnych ścieżkach Polski Współczesnej“.

Jeszcze jedną korzyść przynoszą „Szczenięce lata“. Wyjaśniają stosunek polskiej szlachty do chłopa, na którym tak szkodliwie i podstępnie wygrywają niezgodę narodu fałszywi prorocy marksizmu. Wobec wrzasku Kruczkowskich i Skuzów przestano wierzyć książkom prawdziwym Anczyca, Kasprowicza (Bunt Napierskiego).

A oto niekłamane wspomnienia Wańkowicza: „Chłop lubił czuć silną rękę nad sobą, rozumiał się na tej pańskości i kochał się w niej“. „Do pojęcia pańskości nieodłącznie były przywiązane polskość i katolicyzm“. „Teraz, kiedy z oddali lat i po przebytej rewolucji spoglądam..., wiem, że ci sami ludzie, którzy teraz może tkwią w „kołchozach“, byli szczerzy. W układzie ich życia, formowanym wiekami „pan“ był historyczną koniecznością „był słońcem, dookoła którego obracał się system planetarny kilku wsi, był źródłem zarobku i ostoją form życia takiego, do jakiego przywykli“.

Język, regjonalizm i humor są trzema silnemi filarami talentu Wańkowicza. Ukochanie ziemi, domu, obyczaju, lasu (opis jego życia równy „Godom“ Dygasińskiego), Polski — serdecznemi nutami zdolnego pisarza.

Umieją jeszcze ludzie kochać ojczyznę, tradycję, ziemię.

STANISŁAW CYWIŃSKI, WILNO

O prostocie Norwida

P. Remigjusz Ney w dwu kolejnych numerach „Głosu“ (3 i 4) omówił dwie książki o Norwidzie: Zygmunta Wasilewskiego i moją. Jakkolwiek ustosunkowanie się nasze do omawianej postaci jest zgoła różne, p. Ney — trzeba mu to przyznać, — wybrnął zwycięsko z trudnej sytuacji, bo chociaż najpierw pochwalił bez zastrzeżeń książkę tak wytrawnego krytyka, jakim jest Wasilewski, to jednak i mojej pracy nie poskąpił słów uznania, aczkolwiek wypowiedział równocześnie kilka wątpliwości, które wywołują konieczność odpowiedzi.

Weźmy np. pod skalpel takie zdanie:

„Książka p. C. w niwecz obraca najwstydliwsze złudzenie sympatyka Norwida, że autor „Promethidiona“ jest czytelnikowi dostępny lub dostępnym się stanie. To też C. przyniósł w swej rozprawie nowy argument dla tej zasadniczej tezy Wasilewskiego o niezrozumiałości Norwida i jej społecznych aspektach.“

Zdanie powyższe — to jedno wielkie nieporozumienie, które postaram się usunąć.

Przedewszystkiem więc trzeba ustalić pewnik, który zdawałoby się — winien być poza dyskusją.

Oto: że Norwid jest p o e t ą, i tylko j a k o p o e t a może być zrozumiany i dostępny.

A przypominać to trzeba, bo właśnie Wasilewski o tem zapomina. Na str. 9-tej swej książki pisze on, że „spisywał prozą treść“ poezyj Norwida i „w t e d y d o p i e r o w nią wnikał!“

Otóż, jakkolwiek Wasilewski z całem przekonaniem wmawia we mnie, że to ja właśnie, aby dotrzeć do intencyj Norwida, musiałem „usunąć na bok Norwida artystę i zjednoczyć się z myślicielem („Myśl Nar.“, 1935, Nr. 7) — to mnie, jako żywo, nigdy podobna myśl do głowy nie przyszła, i od 28 lat, gdym poraz pierwszy zetknął się z Norwidem patrzę nań zawsze jako na poetę, aczkolwiek pojęcie to „poeta“ nie ma w sobie dla mnie ani krzty tego lekceważącego charakteru, który mu zwykli nadawać np. pozytywiści.

Tymczasem Wasilewski nie tylko sam oddziela m y ś l Norwida od tworzywa poetyckiego, ale nawet w tym właśnie kierunku inspiruje t. zw. norwidologów:

„Nic z Norwidem nie zrobicie, chyba wyłożycie i upowszechnicie go jako m y ś l i c i e l a“ (cfr. w mojej książce, str. 7).

Widzimy tedy, że Szanowny Autor dwukrotnie stwierdził, że oddziela w twórczości poety t. zw. treść od t. zw. formy. Tymczasem krytyczne stanowisko niżej podpisanego było i jest wręcz odmienne. Za Ermatingerem sądzi on, że

„forma jest w dziele sztuki zmysłowem ograniczeniem treści, uduchowionej przez dynamikę idei, wyprowadzanych z poglądu na świat. Jej celowe zastosowanie pochodzi tedy nie z zewnątrz, lecz przeciwnie — od wewnątrz, z dynamicznego stosunku pomiędzy ideą a treścią... Tedy zjawisko formy — to nie zewnętrzny przypadek, to nie sprawa dowolnego wyboru, lecz wewnętrzna konieczność, określona przez świat uczuć i idei danej osobowości twórczej“.[1])

Przyjmując tedy ścisły związek pomiędzy treścią a formą („Form ist dagegen beseelter Stoff“), skłonny jestem powtarzać za C. F. Meyerem: „Każda myśl winna posiadać w poezji własne piękne ciało“, to też nigdybym się nie odważył „spisywać prozą treść“ Norwida, jak to czyni Wasilewski, obnażając „myśl“ poety z tego „ciała“, w które on ją celowo zamknął[2]).

Niech tu czytelnik sam osadzi, komu z nas przy Norwidzie bardziej chodzi o „żywego“ człowieka: Wasilewskiemu, czy też mnie, oraz kto oddziela w nim poetę od myśliciela, kto zaś dostrzega pomiędzy jednym a drugim nierozerwalny związek!

(Nawiasem dodam, że sam Norwid uważał posługiwanie się metodą Wasilewskiego za naczelną wadę polskiego narodowego charakteru: f o r m a, czyli t. zw. l i t e r a „nie była u nas słusznie pojęta“; przeciwnie „uważana była za rzecz szkolną, kiełznającą umyślnie, nie bezwłasnowolną; i ani jeden głos się nie podniósł z otwartą myślą, że o n a c z ę ś c i ą s ł o w a r ó w n i e w a r t ą.“)

Z tą oto podstawową pomiędzy mną a Czcigodnym moim oponentem różnicą łączą się poglądy nasze na ową sprawę zrozumiałości czy też niezrozumiałości poety. Tu bierze nas za rękę sam Norwid i daje nam niezawodną nić Arjadny, bez której rzeczywiście jego twórczość wydać się może labiryntem dla takiego jak Wasilewski „czytelnika n o r m a l n e g o, który się w niej źle orjentuje“ (str. 200).

Oto ta nić.

Wbrew Kantowi (a trzeba uprzytomnić sobie, że poglądy tego protestanckiego filozofa wydają się właśnie „n o r m ą“ dla przeciętnego inteligenta w Niemczech, oraz w krajach intelektualnie od Niemiec zależnych, jak w Rosji i — niestety — w Polsce[3]), wbrew Kantowi tedy sądzi Norwid, że dzieło sztuki oceniają właściwie bynajmniej nie wszyscy, lecz tylko dwie warstwy, t. zn. prostaczkowie, mający „czystą serca wolę“ — i całkiem przeciwnie: najwyżej ukształceni, specjalnie estetycznie wychowani, tworzący t. zw. „k a s t ę w i e d n ą“. Temsamem eliminuje tu poeta warstwę pośrednią[4]), do której należeli np. przy Mickiewiczu tacy skądinąd wysoce kulturalni ludzie, jak Jan Śniadecki czy Kajetan Koźmian, przy Wyspiańskim — Tarnowski, lub znakomici nawet twórcy: Sienkiewicz czy Weyssenhof, wreszcie przy Norwidzie — Krechowiecki, Wasilewski czy Pini, co zatracili już stosunek bezpośredni do sztuki, a są zbyt w sobie zadufani i nie mają dość pokory, by przejść przez „szkołę“, poddać się — czasowo — autorytetowi, i udzielić twórcy — znów czasowo — kredytu moralnego.

Tu słyszę dokoła śmiech, ironiczne wykrzyki i dostrzegam wzgardliwe wzruszanie ramion. To też przypominają się mi gorzkie słowa Norwida:

„Bo tak się w Polsce, tej najtragiczniejszej
Z narodów, każda dyskusja przecina,
Choćby o rzeczy z ważnych najważniejszej
Choćby o siłę szło, co sprawę wszczyna.
Dowcipność lada, często bardzo krucha,
Skrępowanego prawdy Ugolina
Druzgoce...“

Otóż nie dajmy skrępować prawdy — i porozumiejmy się!

Każdy, kto szczery, przyznać musi, że skoro poraz pierwszy przystępował do jakiegokolwiek artysty, szczególnie zaś do wielkiego artysty, odrazu wiedział, bo mu powiedzieli ludzie kompetentni, że artysta ten (Homer, Dante, Leonardo, Szekspir, Chopin, Dostojewski) zasługuje na szacunek i poznanie. Tradycja wytwarza kult i sugestję zbiorową, całe obłoki nastrojów,

„Co do kolebki dżdżą dziś przez podania
Nad piersią matki paciorkami wiszą,
U nianiek nawet uszów się kołyszą“.

Sugestjom tym ulegamy od dzieciństwa i pod ich urokiem przystępujemy z wielką dozą moralnego kredytu do poznawania owych wielkich — jak nam autorytet indywidualny i zbiorowy mówi — mistrzów.

A oznacza to przecież przedewszystkiem, że spotkawszy w ich twórczości, może od pierwszej chwili, ten lub ów nieponętny szczegół, czy też szczegółów tych całą serję, każdy z nas ostrze krytyki zwraca naprzód... do samego siebie, i to raz po raz, raz po raz... Przynajmniej niżej podpisany pamięta dobrze, że przy każdym bez wyjątku wielkim twórcy, przy Mickiewiczu, przy Beethovenie, przy Dantem, przy pierwszem z nimi zetknięciu, tysiąc razy powiadał do siebie:

— Ach jakżem głupi, ślepy, niewrażliwy! Nic nie znajduję tu, gdzie ludzie widzą wielkość!

... Pamiętam też moje pierwsze zetknięcie się z Norwidem. Było to w r. 1907 w Krakowie. Dostałem do rąk ... „Milczenie!“ Odrazu, od pierwszych słów coś mię tknęło! Wionął na mnie szerokiem tchnieniem wielki duch poety i „prawdy dziwnej bliskość uczułem łonem“. Przeczytałem ze sześć razy pierwszą stronę — i a b s o l u t n i e n i c n i e z r o z u m i a ł e m: natomiast pojąłem odrazu, z bezpośredniością prostaczka, z pokorą i wrażliwością dwudziestoletniego młodzieńca, że tu jest wielkość, tysiąc, miljon razy przerastająca moją zdolność rozumienia — n a r a z i e!

I wtedy to ustalił się we mnie, twierdzę, że jedynie właściwy stosunek do rzeczy odrazu niezrozumiałych: oto ilekroć się z takiem (wielkiem, jak mi mówili ludzie poważni) zjawiskiem stykałem odtąd, źródła nieporozumienia szukałem przedewszystkiem w sobie samym, w myśl przepięknego określenia francuskiego: m a l e n t e n d u, t. zn. źle usłyszane. „To było źle przeze mnie usłyszane, nie zaś źle powiedziane przez autora“ — taka być winna pierwsza nasza myśl, gdy czegoś nie rozumiemy.

I tak samo tu, przy Norwidzie, jak wpierw przy Mickiewiczu, jak później przy każdym innym wielkim twórcy, po długich, długich wysiłkach i uporczywem do ich dusz kołataniu, otwierały mi się nieprzebrane ich Sezamy, tembardziej obficie, im więcej wysiłku włożyłem w pracę poznawczą (w estetycznem i każdem innem tego słowa znaczeniu). Np. gdy zobaczyłem poraz pierwszy (w r. 1909) Sykstyńską Madonnę Rafaela — nie zrobiła ona na mnie żadnego wrażenia. Bezpośrednio potem spotykam w Mińsku Białoruskim mego stryja, który, że wróciłem właśnie z Drezna, pyta mię o Madonnę. Gdym się podzielił swem zdaniem, on woła z triumfem:

— Rzeczywiście! Nic w niej takiego niema! Przechwalona, i tyle!

— Ależ nie! To przecież j e d y n i e w e m n i e j e s t c a ł a w i n a! — zawołałem z najszczerszym zapałem.

I jakżem w duszy triumfował, gdy po paru latach doznałem łaski olśnienia przed tym cudem malarstwa!

Ale bom przez ten czas podjął wielką pracę poznania kilkudziesięciu największych świata muzeów — i dojrzałem wewnętrznie.

A bez tej pracy, bez twórczej pokory, bez świeżości uczuć, bez tej zdolności do zapału, o której mówi Mickiewicz — niemasz obcowania z żywą twórczością! Zaiste dopóki nie staniemy się jako dzieciątka, nie wejdziemy do Królestwa Ducha!

I to jest niewątpliwie największą tragedją starości, iż w miarę jak przybywa nam zmarszczek i siwizny, w miarę jak porastamy w eksperjencję, pojawia się w nas, — w którymś momencie już nadmierna! — ufność w jej siłę. Coraz trudniej uznać nam powagę autorytetu oraz naszą — w jakimkolwiek punkcie — niższość. Gaśnie też w nas zdolność do zachwytu i do przyjęcia wartości dotychczas nieznanych. Nie umiemy, jak ów starzec Symeon przed Dzieckiem Światowładnem, schylić się przed wielkością dotąd przez nas nie uczczoną, a trudność ta pozostaje w stosunku wprost proporcjonalnym do nowości i oryginalności owych wielkich fenomenów.

Tu tkwi tajemnica, dlaczego Śniadecki był głuchy na poezje Mickiewicza, dlaczego Sienkiewicz pogardził Wyspiańskim, a Wasilewski — Norwidem!

— — — — — — — — —

Poeta wieścił:

„Syn minie pismo, lecz ty wspomnisz, wnuku!“

Ale w słowach tych tkwi nie tylko proroctwo. Jest też tu i dumne, pogardy pełne, wyzwanie, zwrócone do „synów“. Toteż w r. ub. dwu naraz takich „synów“, Pini i Wasilewski, postanowili uczynić wszystko, by przyjęcie Norwida przez „wnuków“ było jaknajdalsze od entuzjazmu.

Więc Pini wydaje „Dzieła“ poety w sposób niebywale skandaliczny, zabierając się do nich jak surowy belfer do wypracowania sztubaka. Dużo już o tem pisano, więc ja podzielę się z czytelnikami tylko jednem swem spostrzeżeniem.

Oto zadałem sobie trud dokładnego porównania 10 pierwszych rodziałów „Quidam“ (str. 13 tekstu w wyd. Piniego) z pierwodrukiem. Okazało się, że wydawca wprowadził tu aż... 812 „poprawek“ własnych! Jeśli przyjąć to za miarę, okaże się, iż w całej książce takich „poprawek“ będzie

39,680!

Prawda, że jakie 10, lub 15 procent nawet, to poprawki słuszne, bez cudzysłowu; że tyleż mniej więcej jest poprawek spornych lub błahych, ale bądźcobądź zostaje do 30.000 niewątpliwych błędów, które wręcz uniemożliwiają korzystanie z tekstów poety, tak że firma „Parnas Polski“ powinna bezwzględnie wycofać z obiegu obecne wydanie i sporządzić nowe pod redakcją wydawcy kompetentnego.

Również błędną metodą posłużył się w swej książce Wasilewski.

Prawda, jaknajtrafniej stwierdził on narazie, że „nie można z pożytkiem czytać poety, dopóki się nie wejdzie w niego przez odnalezienie punktu, z którego on na świat patrzył. Odczytywanie tekstu jak szarady, w sposób zagadywany i kazuistyczny, ubliża poecie“.

Ale sam raz po raz mianuje poezje Norwida właśnie szaradami (używa tego wyrazu aż 8 razy!) i nawskroś chrześcijański jego stosunek do świata, filozoficzną jego podstawę: dualizm, wyprowadza z... monizmu Fichtego i Hegla, którzy, jak wiadomo, stworzyli najjaskrawszą ze znanych w historji filozofji próbę zaprzeczenia dualizmowi przez zniesienie samej zasady sprzeczności.

Tymczasem u podstawy filozofji chrześcijańskiej tkwią właśnie słynne słowa św. Augustyna:

„Fecisti nos ad Te et inquietum est cor nostrum, donec requiescat in Te“.

Oto jest n o r m a l n e stanowisko chrześcijanina, oglądającego w s z y s t k i e sprawy ze stanowiska religijnego — i tak patrzy na świat pomiędzy innemi cała wielka narodowa twórczość polska. Norwid zaś właśnie, co jest rzeczą najznamienniejszą! — najusilniej, w wiele większym niż którykolwiek inny Polak stopniu, stara się zarzucić pomost pomiędzy ziemią a niebem (t. zn. pomiędzy rzeczywistością imanentną a religją) przez kulturę sztuki, która jest u niego przeduchowieniem pracy („Form ist dagegen beseelter Stoff“[5]).

Sztuka nie stoi u Norwida bynajmniej „na szczycie wszystkiego“ jak mylnie twierdzi Wasilewski (str. 119 i 120). Przeciwnie: „Wobec religji sztuka samoistność swą traci i wstępuje już w porządek potęgi w y ż s z e j życia“ (pisemko „O sztuce“, rozdz. IV), ale jest ona gwarantką umiłowania ziemi, rzeczywistości, pracy, a tem samem rękojmią odkupienia rodzaju ludzkiego z jarzma grzechu pierworodnego, w którego okowach jęczymy wszyscy.

Tego chrześcijańskiego realizmu Norwida Wasilewski absolutnie nie dostrzegł i odwrócił wartościowanie poety, nazywając to, co w nim białe, czarnem, a czarne — białem.

A oto parę swoistych chwytów krytyka[6]).

Na str. 61 czytamy:

„W całej puściźnie pisarskiej Norwida nie znajdziemy w z m i a n k i o tem, co przeżył dodatnio na łonie rzeczywistości. Uczuciami n i e wiązał się, pamięcią do porzuconych w dzieciństwie miejsc i ludzi n i e wracał“.

Zapamiętajmy to sobie!

Aliści na str. 95 sam autor tak pisze: „Ślad tych przeżyć salonowych (w Warszawie) znaleźć można w poemacie „Ziemia“. Dalej tam: „Toczy się ów dyskurs gdzieś zagranicą, jak niegdyś w Warszawie“.

Dalej spójrzmy na str. 117:

„Co w poezji N-a było najbardziej wartościowego, bo ożywionego wzruszeniem, zawdzięczał atmosferze Warszawy“.

Dalej tamże:

„Z tkliwością wspominać też będzie życie towarzyskie Warszawy“.

Na str. 144 Wasilewski pisze:

„Za kulisami napisane w czasie tęsknoty za Warszawą“.

Na str. 147: „W nocy 1001 list (wyimaginowany) p. Kalergis“ (wspomnienie czasów miłości).

Na str. 189: „Promethidion“ zawdzięcza swą moc pierwiastkowi nostalgji“.

Na str. 189 również: „N. poruszył w sobie pamięć przeżyć osobistych“.

Na str. 192: „Utwory pisane w tęsknocie do ziemi“.

---

[1]) E. E r m a t i n g e r: „Das dichterische Kunstwerk“, 1921, s. 191.

[2]) Co najwyżej zrobiłbym to z „Pieśnią Społeczną“, której autor sam odmawia artyzmu.

[3]) Wasilewski przyjmuje w estetyce stanowisko Kanta, jako — rzekomo — oczywiste. Nic dziw tedy, że rażą go nawskroś nowoczesne sądy Norwida.

[4]) Porównaj Słowackiego podział na trzy warstwy poznających prawdę: naiwnie, alegorycznie i symbolicznie (Pisma t. X, str. 226—7, 364 i 532—5, oraz świetne studjum H. K l e i s t a „O teatrze marjonetek“ („Chimera“, t. VII), gdzie autor z punktu widzenia emanacji wdzięku dzieli świat żywy na trzy grupy: naiwności, jej zaprzeczenia, oraz — zupełnej świadomości.

[5]) Znamienne wypaczenie chrześcijaństwa widzimy w protestantyzmie, zwłaszcza od Kanta, który, stawiając genetycznie etykę powyżej religji, uczynił tę ostatnią wartością względną, uzupełniającą, pomocniczą, jakgdyby latarką w ręku człowieka, gdy przeciwnie w katolicyzmie religja — to słońce duchowe, źródło nietylko etyki, lecz całego życia duchowego wogóle. Toteż słusznie Słowacki mówi o Hoffmanowej, że „sprotestantyzowała nasze kobiety“, każąc patrzeć na religję utylitarnie i na „niebo“ spoglądać z „ziemi“. A takie protestanckie spojrzenie wydaje się Wasilewskiemu właśnie n a t u r a l n e m: „dziś jest w sztuce rzeczą obojętną, czy artysta patrzy na rzeczy z wysokości swego n a t u r a l n e g o wzrostu, czy też patrzy na świat skądś z wysoka, a tembardziej z innego świata“ (str. 184—5). (Cfr: „Gdy się punkt ciężkości życia przeniesie nie w życie, lecz w „zaświat“ — to odbiera się życiu wogóle wagę“. Są to słowa Nitsche'go ... w „Antychryście“ (§ 43; w pol. przekł. str. 61). Po owych słowach Wasilewski dodaje: „Dlatego tak trudno porozumieć się n a m(!) z Norwidem“. Bądźcobądź niepodobno tej generalizacji zastosować — do katolików!)

[6]) Dodaję tu parę spostrzeżeń, opuszczonych przeze mnie w mej książce „O g w i a ź d z i s t y d i a m e n t N o r w i d a“.

Wreszcie tamże: „Norwid odradza się, ilekroć dotknie stopą swoją lat młodzieńczych“.

Jeżeli teraz te 10 urywków z różnych miejsc książki zestawimy z owym ustępem ze str. 61, to jasną rzeczą nam się stanie, że Wasilewski niemylnie liczył na... krótką pamięć czytelników.

Czytelnicy przepomną, nim spytają: czemu?

I będą stylu twego wielbić błyskawice.

Co jednak najbardziej znamienne, to to, że autor przedrukowywał przecież swą książkę z dawniej drukowanych feljetonów i gdy robił korektę owej str. 61 doskonale wiedział, że po niej aż 10 razy zaprzeczy sam swej tezie!

A oto drugi przykład swoistej metody znakomitego krytyka. Na str. 75 i 76 czytamy, iż „Przegląd Warszawski“ był dodatkiem do „Gazety Porannej“ (w I-ej połowie r. 1840). Że później „zmieniono tytuł i format“ i cała ta impreza nosiła na sobie pieczęć Norwida“, gdyż „na okładce do pierwszego rocznika „Piśmiennictwa Krajowego“, (które powstało z „Przeglądu War.“) uwidoczniono, jako hasło pisma, urywek z utworu Norwida „Do X“ (zapewne do p. Skinborowiczowej). A więc, „pod wezwaniem Norwida zaczęło wychodzić nowe pisemko... formatu małej ósemki“.

Otóż co krok, to błąd!

„Przeglad Warsz.“ nigdy nie był dodatkiem do „Gazety Porannej“ i nigdy też nie był przekształcony na „Piśm. krajowe“. Oba pisma wychodziły równocześnie. „Motto“ z Norwida ukazało się na drugim roczniku „Piśm. kraj.“ Wyjete ono zostało z wiersza „Do piszacych“. Format „Piśmiennictwa“ było to duże in „quarto“, nie zaś „mała ósemka“.

Chyba dość?

Widzimy tedy, jak zawodnym przewodnikiem po „labiryntach“ twórczości Norwida jest Wasilewski.

— — — — — — — — —

Wróćmy nakoniec do tytułu niniejszego artykułu.

Do licznych, bardzo licznych ludzi, których udało mi się doprowadzić do źródeł norwidowej twórczości, należy też prof. Stanisław Szober. Jego też musiałem przekonać. Ale jakże wdzięczny okazał sie ten trud! Oto po roku niewidzenia się (było to pomiedzy r. 1921 a 1922) mówi on do mnie: — Ależ panie, jak wdzięczny jestem panu za skierowanie mej uwagi na Norwida. I wie Pan co? Im mniej jasny wydawał mi się narazie ten lub ów fragment jego pióra, tem bardziej prosty po zrozumieniu zaczynał mi sie wydawać i ogarniało mie dziwne olśnienie: ależ tego prościej i jaśniej wypowiedzieć się nie da!

Czcigodny Profesor nie próbował snadź „spisywać prozą treści“ poezji Norwida, tak jak dla uchwycenia uroku róży np. niema potrzeby rozrywać jej na płatki i suszyć każdy z nich oddzielnie.

Szukamy nowych talentów

Wieczna lampa, wykonana przez Józefa Murlewskiego, absolwenta klasy prof. Jana Wysockiego poznańskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych, dla kościola w Lewkowie pod Ostrowem. Lampa wykonana została w srebrze, pod kierownictwem technicznem instruktora Jerzego Wankiewicza, a zamówiona przez ks. Szymańskiego.



WIERSZE WYBRANE

Eleonory Poczobut-Odlanickiej

Utwory Eleonory Poczobut - Odlanickiej wnoszą szereg nowych wartości do systemu rzeczywistości idealnej, jaką stanowi każda sztuka — wartości zrodzonych ze wzruszeń czysto estetycznych i poprzez takie tylko wzruszenia dostępnych.

Stwierdzenie powyższe zdąża do podkreślenia, że mamy do czynienia z twórczością



istotną, która nie potrzebuje legitymować się wartościami ubocznemi, ale sama w sobie ma rację bytu — właśnie jako poezja.

Estetyzm Odlanickiej, jaskrawo zarysowuje się na tle czasów obecnych, które wskutek silnych wstrząsów i głębokich przeobrażeń społecznych, pociągnęły za sobą i rozpowszechniły intensywność nastawień praktycznych, w silnym stopniu podważających sztukę w jej autonomiźmie wartości, stanowiącym conditio sine qua non działalności artystycznej, nawet w jej oddziaływaniu społecznem. Wśród zalewającej nas powodzi potworków artystycznych, rodzących się w służbie dążności państwowo - twórczych, czy w ogniu walk klasowych, czy będących przejawem tendencyjnego regjonalizmu itd. — silących się na przemycenie, pod pozorami artyzmu, afirmacji danego przejawu rzeczywistości społecznej na pewnym odcinku — każdy wiersz Eleonory Odlanickiej, jak każdy wiersz prawdziwy, jest indywidualną wizją rzeczywistości.

„Prowokując“ czytelnika do zajęcia takiego samego stanowiska emocjonalnego, jaki był zalążkiem przeżycia utrwalonego w formie utworu — twórczość Odlanickiej daje dystans psychiczny wobec zjawisk, wnosi ferment w nadbudowę rzeczywistości, jaką każdy pełnowartościowy człowiek stwarza w stosunku do swego życia indywidualnego, a na którą to nadbudowę składają się jego refleksje, akty woli, marzenia, rzutowane w przyszłość uczucia, i która stanowiąc, w stosunku do praktycznej sfery życia, świat idealny — jest źródłem idealnej energii, poruszającej mechanizm działalności praktycznej.

Następuje tu wzbogacenie uszlachetnienie indywidualnej wizji rzeczywistości danej jednostki, o indywidualną wizje rzeczywistości — artystki. A strumień życia przepływając przez koryta — dusze ludzkie, oczyszcza się poprzez filtr zdobytych za pośrednictwem poezji wartości i niesie ze sobą dalej wraz z mułem i piaskiem — grudki złota.

Bogata i ponad wiek doirzała twórczość 20-letniej poetki, ma wszelkie dane, by u wielu odbiorców, nastrojonych psychicznie na podobny ton znaleść rezonans w postaci płodnych współprzeżyć, by dzięki szczególnie ekspresywnej formie artystycznego wyrazu — przeżycia ich zwielokrotnić, poszerzyć i pogłębić.

W poezji Eleonory Odlanickiej zasługuje na podkreślenie rozpiętość tematyki — z przewagą egzotyki w formie mitologizmu, miłości i przyrody. Ta rozpiętość częściowo tylko znalazła uwzględnienie w doborze utworów, w którym dążność do zilustrowania tematycznej różnorodności krzyżowała się z kryterjum wartości artystycznych. — Poza tem przy apercepcji utworów Odlanickiej zwraca uwagę intelektualistyczne podchodzenie do tematu — uwarunkowane podkreślonym już estetyzmem — przejawiające się na płaszczyźnie wyrazu artystycznego w konstruktywności wierszy, w konsekwentnym pointyliźmie i w dyskretnem posługiwaniu się obrazowaniem.

Ujarzmiony intelektualizmem, który jest reprezentatywny dla poetki — tai się w twórczości Odlanickiej nurt chłonnego życia emocjonalnego, znajdującego swoją artystyczną objektywizację w melodyjności wiersza. Wiele charakterystycznych momentów, — których nie sposób w krótkim szkicu omówić — pozwala na zaliczenie poezji Eleonory Odlanickiej do tego typu twórczości, jaki reprezentowali francuscy parnasiści.

Cezary Gołkowski.

Narodziny wiersza

Przykładam rękę do serca
I czuję, jak bije krew.
Rytm jej się w palce wkręca
W każdy najmniejszy nerw.

Rytmicznie rozkołysany
W mózgu rój tańczy słów;
Rymy zginają kolana,
Dzielą, zbiegają się znów.

Rodzi się z mej gorączki
Dziecko wiecznego snu,
Ma tulipanowe rączki
I włosy faliste z mchu.

Pieszczone maleńkie dziecko
Wyrasta wzdłuż i wszerz,
Ze zwrotki powstaje zdradziecko
Cały, skończony wiersz.

Reverie nordique

Znużona złotem i czerwienią
I upałami z za Atlasu
Frunęłam do północnej ziemi
Odpocząć wśród jodłowych lasów.

Błękitną nocą jednorogi
Z tententem z dolin cwałowały
I staczał mi się, aż pod nogi,
Księżyc z wierzchołka mszystej skały.

A pośród gór błękitnych dali
Płynął, jak złota, gesta fala
Tęskny i smutny odgłos rogu.
Oberon budził się wśród chmur,
A z pod tchnącego sianem stogu
Roznosił się kobaldów chór.

Bulgocąc, strumień lodowaty
Ściekał na łąki pełne kwiatów,
A pod wierzbami lekkie strzygi
Tańczyły, gnąc się jadowicie,
Jak żmije, albo, jak łodygi
Zbóż, gdy się wiatr wylęgnie w życie.

W zapach żywiczny i wilgotny
Mieszała się woń piwa Azów;
Thor walił w skały ciężkim młotem
I od tych głuchych drżały razów
Kwiaty płaczące lepkim miodem,
Źródła perlistej pełne wody,
Milkły śpiewania, a wśród ciszy,
Kiedy przebrzmiało groźne echo,
Słyszałam, jak się gdzieś daleko,
Czas na wahadle swem kołysze.

Noc

Jedna po drugiej
kurtyny lecą pod gwiazdy:
za niemi w mroku bielą się kwiatów smugi,
fontanny tętnią głosami słowiczemi;
suną szopenowskie nokturny,
jak mgły ponad ziemią.
Z gniazd księżycowych
wylęgają się nietoperze
i sowy.

. . . .

A za ostatnią kurtyną,
w koralowym półbrzasku
z drżącego miłością eteru —
— świt się poczyna.

Tam — Tam

Jeżeli teraz podniesiesz głowę,
Zobaczysz wśród liści — daktyle
I śmiejące się twarze murzynów,
A pod sobą lwy płowe,
A wokoło wielkie, jak dłoń, motyle
I sto papug mówiących w narzeczu.

Król plemienia z nad Wiktorji,
Albo jakiś wódz z za Konga,
Niczemu co mówisz nie przecząc,
Będzie ci w duszy urągał
I nocą przy dźwiękach tam - tamu
Pod świętą zechce zabić cię bramą.

— Później...
Wywieziesz kremowe kły słoni,
Których żaden Tarzan nie obroni.
Przepływać będziesz
Jeziorka wśród dziwnych łabędzi,
Między rzeźbionym grzbietem krokodyla,
A kajakiem najeżonym włóczniami;
Aż się woda tłusto poplami
Od twojej krwi,
Aż się pochylisz
I nurka dając, pogoń zmylisz.
I wylądujesz na jakiejś wyspie
Zupełnie sam;
A poprzez dżunglę, wodę, drzewa,
Echo złowrogie ci zaśpiewa:
...Tam — tam...

Tęsknota dziwna, przedwiekowa,
W tym smutnym dźwięku sens swój chowa.
Pierwotna małpia melancholja,
Jakiś mistyczny śmierci głos,
Tak monotonny i rytmiczny,
Jak monotonny jest rytm życia.
Padają ciężkie krople deszczu
Na liście palm,
A przez megafon twego ucha,
Ty wraz z marami ojców słuchasz
i ich uczuciem czujesz ból,
I przypomina ci się grota
I smak surowej krwi bydlęcej,
Coraz wyraźniej, coraz więcej...

Na brzegu wody stoisz sam
W zadumie słodkiej i złowrogiej
I czujesz jaki jest ubogi
Bechsteina ton, wobec tam — tam.

* * *

Pamiętasz czarne topole
I rzekę złocistą w dole
I pełen róż ogród letni
I gwiazdy białe i srebrne
Za krzyżem okna?

Chodziliśmy w złocie,
Chodziliśmy w bieli
Pachnącej liljami niedzieli,
W srebrnej, szklanej słocie,
Kiedy niebo jest granatowe,
Kiedy wszystko pod ziemię się chowa.
Chodziliśmy razem
Pośród piorunów i ptaków deszczu.
Były dnie rozkoszne,
Kiedyśmy płynęli lekko
Z prądem, co w cień uciekał,
A poprzez dłonie i palce
Targały się w krótkiej walce
Łodygi nenufarów.

A potem, kiedyż to było?
W lecie? w jesieni?
Coś cię przed nami ukryło!
Szukaliśmy w krzakach bzu,
W wysokich, suchych trzcinach,
Gdy ledwie świt się poczynał
W różowej muszelce na wschodzie.
Aż pewnej nocy...
Nie... to nie była noc; —
— Wieczór już chłodny;
Znaleźliśmy w stogu siana.
Była w purpurę ubrana,
Płonąca niby pochodnia!
Aż dziw, że suche siano
Nie porwał huczący żar!...
...Zgasła powoli, do dnia.

. . . .

Popiół zbieraliśmy rano.

Poeta romantyczny

Płaczliwe były twe oczy,
Tragiczno - namiętne usta;
Ścieżkami, któremiś kroczył,
Chadzała zaduma pusta.

Sypały powiędłe kwiaty
Na wiersze twoje panienki,
Żywiące się liśćmi sałaty,
Noszące z muślinu sukienki.

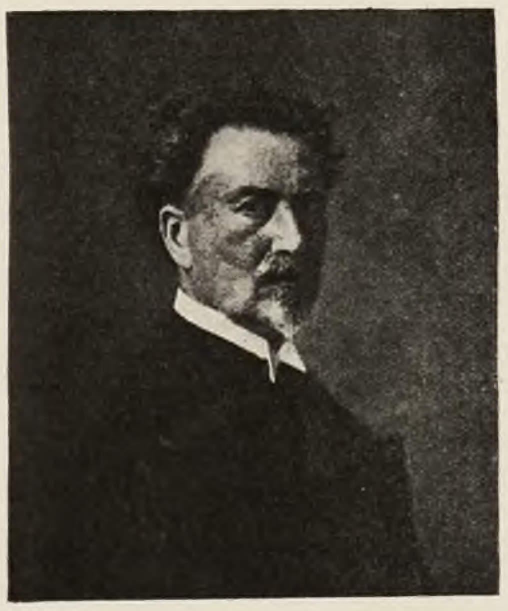
Jadąc karetą przed ludem,
Lub nudząc się w czyjejś loży,
Marzyłeś poeto chudy,
By cichcem w śpiżarni ożyć.

A kiedy zdala od krzyku,
Od teatralnych przeżyć,
Ciasne zzuwałeś buciki —
— Płakałeś nareszcie szczerze.

HILARY MAJKOWSKI, POZNAŃ

Maksymiljan Svabinsky

Prawieże niespostrzeżenie przeszły u nas uroczystości, jakimi Czechosłowacja uczciła sześćdziesiątą rocznicę urodzin jednego z najwybitniejszych swych współczesnych artystów, g r a f i k a o s ł a w i e m i ę d z y n a r o d o w e j prof. Maksymiljana S v a b i ń s k y'e g o. Śród innych uroczystościowych festynów, odbytych w stolicy Czechosłowacji, bodaj czy nie najmilszą sercu wielkiego artysty była manifestacja ziomków, którzy w dniu 17 września ub. r. umieścili na jego rodzinnym domku w Kromierzyżu, miasteczku na Morawach, skromną tablicę pamiątkową. Jest to jeden z niewielu wypadków uczczenia za życia artysty, który szeroko rozniósł sztukę swego kraju w świecie.



Maksymiljan Svabinsky Autoportret (olej).

Podobnie jak w drugiej połowie minionego stulecia Smetana rozsławił muzykę czeską na wszystkich kontynentach świata, tak Svabinsky w malarstwie i grafice dowiódł, że sztuka czechosłowacka równać się może z krajami o bogatej przeszłości na tym odcinku życia artystycznego.

W czasie tedy, kiedy Orlik, Kokschka, Lederer, Klimt, Józef Hofman, Olbuch, Harak i in., swym odrębnym charakterem nadawali — chociaż byli Czechami — charakter sztuce niemieckiej, Svabinsky pozostał wierny ziemi rodzimej, propagując jej piękno w rozlicznych swych rysunkach, płótnach, a nadewszystko grafikach o rewelacyjnej technice, szczególnie w drzeworycie i litografji. Poszedł drogą wielkich artystów - plastyków czeskich, zakładających w latach siedemdziesiątych ub. stulecia zręby sztuki narodowej, drogą Józefa Manesa, Alesa, Brozika, Hynaisa, Maraka, Schnircha, Zeniska i Myslbeka.

W Polsce niedużo wiedziano o tym wspaniałym artyście, poza paroma grafikami wystawionemi ostatnio na wystawach Warszawy, Poznania i Krakowa. W sam raz więc ukazała się w numerze 3, rocznika X-go „Sztuk Pięknych" ciekawa sylwetka artysty, obecnie także wydana jako odbitka*).

Autor tej publikacji, historyk sztuki, prof. Uniwersytetu Komensky'ego w Brnie, Franciszek Zakovec znany jest i w Poznaniu z szeregu wykładów o sztuce czeskiej, wygłoszonych przed rokiem na U. P. Jest on prócz dr. Stecha, dr. Z. Wirth'a i prof. A. Matejceka najpoważniejszym znawcą w dziedzinie historji sztuki czechosłowackiej, a już w każdymbądź razie sztuki Svabinsky'ego. Powróćmy więc do tej pracy.

Svabinsky studjował w praskiej Akademji Sztuk Pięknych pod kierunkiem wybitnego pedagoga prof. Maksa Pirnera. Zrazu też zapoczątkował z rówieśnikami walkę o ówczesną „m o d e r n e" w czechosłowackiej sztuce plastycznej, której to odpowiednikiem była secesja krakowsk. „Sztuki", przejęta na wystawie 1902 r. w Pradze z ogromną serdecznością przez secesjonistów, zgrupowanych w odmłodzonem Towarzystwie „Manes". Właściwym charakterem talentu Svabinsky'ego jest rysunek; wybił się też początkowo artysta jako rysownik, chociaż w krótkim czasie wyhodował swoje odrębne poczucie koloru.



Maksymiljan Svabinsky
Dwie kobiety (akwarela, 1903 r.)

*) Franciszek Zakovec — „Maksymiljan Svabinsky", z czeskiego tłumaczył J. Zdenko Svoboda, Kraków 1934, 8 ilustracyj w rotograwurze i 1 w autotypji.

Jako pierwszą większą kompozycję wymienia autor praerafaelistowskie „Połączenie się dusz" (1896), wykonane piórkiem i w technice olejnej. Kulminacyjnem dziełem pierwszej epoki jego twórczości jest malowany w r. 1900 olej pt. „Biedny kraj", będący reminiscencją podgórskiej miejscowości Kozłów, wioski rodzinnej żony, dokąd przybywał artysta dorocznie na wypoczynek letni. Z biegiem lat dojrzalszych powstają liczne i znane z wystaw europejskich kompozycje, jak: „Paradisea apoda" (1901), „Kamelja", „Rajskie ptaki", „Niebieski rajski ptak" (1903), „Żółta parasolka", „Kąpiel słoneczna"; „Arkadja" (1913) jest pierwszą większą akwafortą Svabinsky'ego, która zrazu predystynowała go na pierwszorzędnego grafika.

Już w roku 1911 wydał gabinet graficzny Jana Stenca w Pradze wspaniałe album jego grafik i rysunków, poprzedzone przedsłowiem znakomitego pisarza francuskiego Camille'a Mauclair'a. Odtąd pozostaje wierny czarno - białej sztuce, tworząc akwaforty jak: „Pieta", „Golgota" (1906), „Dzień letni" (1907), mezzotinty: „Biała kamelja" (1910), „Noc letnia" (1911), suchoryt „Połów tygrysów" (1914 r.). Między twórczością graficzną komponuje szereg akwareli i oleji. Z ważniejszych: „Dwie kobiety" (1903), „Atelier" (1916), „Kraj spokoju" — 1922, „Wspomnienia o starożytnym Rzymie" (1928), „Wrzesień", „Idylla", wreszcie dużych rozmiarów „Żniwa w ojczyźnie" i szereg portretów. W ostatniej fazie swej twórczości wraca artysta znów do grafiki. Mamy więc cykl drzeworytów pt. „Rajska sonata", plansze: „Ucieczka do Raju", „Uprowadzenie ukochanej do ziemi marzeń", linijny drzeworyt „Św. Jan Chrzciciel", tonowy — „Poeta i jego Muza", akwaforty — „Las dziewiczy", „Złoty wieczór", szereg litografji i w. in. Wykonał też ostatnio projekty na nowe banknoty czechosłowackie sto i tysiąckoronowe.



Maksymiljan Svabinsky
Św. Jan Chrzciciel (drzeworyt, 1920 r.)

Wykonał był też Svabinsky liczne portrety (wielki drzeworyt Prezydenta Masaryka, polityków: Riegera, dr. Kramara, Benesa, uczonych: Gebauera, Golla, Randa, Hostinsky'ego, Pekara, Niederle'go, Zubaty'ego, przemysłowców — Lanna i Kovarika, pisarzy Cecha, Jirásek'a, Salda, Sovy, Kvapila, Hilberta, Renata, Tyrsova, kompozytorów: — Dvoráka, Suka, plastyków: — Alesa, Myslbeka, Sucharda, Stursa, Kotera itd) wybitnych osobistości czeskich bądź w rysunku, obrazach olejnych, bądź w grafice. W roku 1928 wydał z okazji dziesięciolecia Republiki Czechosłowackiej (także u Jana Stenca) ich wybór pt. „Głowy znane i nieznane". Dowiadujemy się jeszcze z pracy prof. Zakavec'a, że artysta zamianowany został ostatnio członkiem „Institut de France", oraz Królewskiej Akademji w Madrycie. Był on także rektorem Akademji Sztuk Pięknych w Pradze w latach 1918—20, 1924—26, a jest nim również i w b. r. akademickim.

Tyle w streszczeniu z publikacji czeskiego uczonego, przyswojonej znakomicie językowi polskiemu przez J. Zdenko - Svobodę, wielce zasłużonego tłumacza i pracownika na niwie zbliżenia kulturalnego obu narodów. Instytut Stenca wyposażył druk (odbity w krakowskiej Drukarni Narodowej) w 9 pięknych ilustracyj, grafik Jan Wroniecki w harmanijny zdobnik na obwolucie okładkowej.

Jest to — jak mi się wydaje — pierwsza monografja w języku polskim o czeskim grafiku.

Z wystaw warszawskich

W a r s z a w a, marzec.

W Tow. „Zachęta" wystawiał ostatnio kolekcję akwarel znany warszawski artysta malarz i grafik M a c i e j N e h r i n g.

Artysta ten studjował w Krakowie i Warszawie, nadto zagranicą, gdzie też zyskał dużo uznania i pochlebnych recenzyj. Studja swe uzupełniał licznemi podróżami po Francji, Hiszpanji, Italji, Afryce i Jugosławji, pozostawiając ślady z wędrówek tych w mistrernie opracowanych suchorytach, mezzotintach i akwafortach, oraz akwarelach, malowanych z wielkim umiarem kolorystyki, ry-

E. D., POZNAŃ

Franciszek Ksawery Tuczyński, zapomniany wielkopolski pisarz ludowy

W życiu Wielkopolski w drugiej połowie XIX wieku w okresie zmagań żywiołu polskiego z represją rządu pruskiego, w okresie wytężonej pracy organizacyjnej i pracy oświatowej nad ludem, wybitną rolę odgrywają popularni pisarze ludowi. Podejmują się oni misji popularyzowania oświaty, budzenia zamiłowania do mowy ojczystej, do przeszłości i polskich obyczajów wśród najszerszych warstw.

Pisarze popularni, to talenty skromne, lecz natchnione gorącą miłością sprawy polskiej i narodu i pracujące dla niego z mrówczą pilnością i wytrwałością. Nazwiska ich i zasługi mało są dziś znane i wspominane, a wiele nazwisk uległo całkowitemu zapomnieniu. Powoli w niepamięć idą: ks. Bażyński, Józef Chociszewski, Ignacy Danielewski i inni szermierze polskości pod zaborem pruskim. Podobny los spotkał nazwisko Franciszka Ksawerego Tuczyńskiego, nauczyciela ludowego, literata i redaktora*). A ongiś był to człowiek cieszący się niesłychaną popularnością, ulubiony autor szerokich warstw, dla których pisze z zamiłowaniem i talentem. W literaturze regjonalnej Wielkopolski twórczość jego stanowi poważną pozycję.

*) W r. 1932 ukazała się broszurka T. Pietrykowskiego, regjonalisty i bibljofila, pt. „Franciszek Ksawery Tuczyński, wielkopolski pisarz ludowy", napisana w 40 rocznicę śmierci pisarza.

W związku z ukazaniem się tej broszurki, Alfred Jesionowski poświęca na łamach Działu Kultury i Sztuki w „Kurjerze Poznańskim" w marcu 1933 r. zapomnianemu pisarzowi artykuł pt. „Grób w Mikołowie".

Urodził się Tuczyński w Jabłówku pod Szubinem dnia 1 października 1844 r. jako syn leśniczego**). Po pierwszych latach nauki w szkole ludowej w Chomętowie przyjęty został w r. 1856 do gimnazjum w Trzemesznie — do sexty. Gdy w marcu 1863 roku gimnazjum wskutek wypadków politycznych zostało zamknięte na rozkaz ministra pruskiego, Tuczyński, pozbawiony z przyczyn materjalnych możności kształcenia się w innem mieście, przyjmuje posadę guwernera w Górkach Zagajnych pod Kcynią. Od roku 1866—68 odbywa służbę wojskową przy XIV pułku piechoty w Szczecinie, gdzie wydoskonala się w języku niemieckim. Po powrocie z wojska, pragnąc poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, zapisuje się na kurs metodyczny, urządzony przez poznański okręg szkolny w Paradyżu.

Ukończywszy kurs z wynikiem dobrym, obejmuje w r. 1869 posadę nauczycielską w Dziewokluczu pod Chodzieżą. W następnym roku składa po 6-cio tygodniowym kursie metodycznym kurs metodyczny w Kcyni, drugi egzamin nauczycielski. Przebywa kolejno na posadach w Dziewokluczu, w Łeknie, w Królikowie p. Szubinem, w Raczkowie p. Wągrówcem, wreszcie w Kiszkowie p. Gnieznem. Obok służby nauczycielskiej oddaje się też Tuczyński pracy literackiej. Pisze artykuły do poznańskich czasopism ludowych: „Oświaty" i „Gońca Wielkopolskiego", oraz powieści dla ludu.

**) Akta personalne Tyczyńskiego w Archiwum Państwowem w Poznaniu.

Wskutek tej pracy literackiej o charakterze wybitnie narodowym naraża się władzy pruskiej. Śledzony jest pilnie przez inspektora szkolnego i burmistrza Kiszkowa, tembardziej, że popada w zgubny nałóg pijaństwa. Nałóg ten staje się przyczyną nieszczęść i niepowodzeń życiowych Tuczyńskiego.

Zniechęcony licznemi skargami i śledztwem wnosi Tuczyński podanie o zwolnienie z posady. Otrzymuje je w sierpniu 1881 r., a we wrześniu tegoż roku zamieszkuje wraz ze swą rodziną w Poznaniu, jako redaktor odpowiedzialny „Orędownika". Posadę tę ofiarowali mu Offierski i ks. Szymański, właściciele popularnego czasopisma. Od r. 1883 obejmuje Tuczyński redakcję „Wielkopolanina". Policja pruska, znając jego narodowe wystąpienia jeszcze za czasów nauczycielskich, śledzi teraz bacznie jego działalność, wskutek czego ma Tuczyński liczne procesy za artykuły, a wkońcu skazany zostaje na 9 miesięcy więzienia za obrazę rządu pruskiego. W r. 1885 nabywa Tuczyński skład obrazów i książek do nabożeństwa przy ulicy Gołębiej. Nie zaniedbuje też pracy literackiej, wydaje powieści i prace popularno - naukowe.

W r. 1886 opuszcza Tuczyński Poznań i przenosi się na Śląsk. W Bytomiu obejmuje stanowisko redaktora odpowiedzialnego „Katolika", najpoczytniejszego pisma ludu śląskiego. Śledzony przez policję niemiecką, nie zostaje Tuczyński długo w Bytomiu, lecz przenosi się do Mikołowa. Tutaj pracuje w zakładach wydawniczych Karola Miarki, lecz tylko przez krótki czas, gdyż 20 czerwca 1890 roku umiera śmiercią nagłą. Spoczywa w zapomnieniu na cmentarzu w Mikołowie.

Twórczość Tuczyńskiego jest bogata. Estreicher podaje 27 pozycyj, przyczem wiele powieści doczekało się kilku wydań. Pozatem niektóre powieści i prace są Estreicherowi nieznane, a również wiele rzeczy kryje się w czasopismach: w „Orędowniku", „Wielkopolaninie", Bibljotece Powieści.

Praca literacka Tuczyńskiego obejmuje powieści, prace popularno - naukowe i pracę dziennikarską. Przewodzi jej jeden cel: niesienie oświaty ludowi, a przez to uczynienie z niego ś w i a d o m e g o swych praw narodowych Polaka — s p o ł e c z e ń s t w a. Jest więc Tuczyński pisarzem ludowym z tendencji świadomej, który w twórczości swej służy pewnym hasłom i propaguje je. Hasła te to przedewszystkiem potrzeba utrzymania ziemi w rękach polskich wobec zaborczości kolonistów niemieckich, paląca sprawa emigracji, która dla żywiołu polskiego była wielkiem niebezpieczeństwem, wreszcie sprawa oświaty.

To są myśli przewodnie powieści ludowych, z których największą poczytnością i popularnością cieszyły się: „Raciczki, powieść dla włościan polskich" (1882), „Szymek i Handzia" (1876), „Raj za morzem" (1885), „Szczęście w Ameryce" (1882). Ostrzega w nich Tuczyński lud przed największym wrogiem Niemcem i Żydem, który p o d s t ę p n i e wykupują ziemię z rąk chłopów i zachęcają do emigracji do Ameryki. Budzi więc autor w ludzie d u c h a n a r o d o w e g o, miłość do ziemi ojczystej, do mowy polskiej. Za przyczynę wszelkiego zła uważa brak oświaty, zachęca więc do czytania książek i czasopism jak „Orędownik", „Oświata",

sunku i wyczuciem piękna odtwarzanego objektu. Są to pełnowartościowe dzieła sztuki akwarelowej, o wysokiej kulturze i wspaniałej technice. W portrecie dochodzi artysta do niemniej pięknych rezultatów, a to głównie dzięki szczerości w traktowaniu modela, oraz doskonałemu opracowaniu faktury malarskiej, tak trudnej w malarstwie akwarelowem.

Nehring wystawiał w salonach omalże całej Polski. Kilka razy także w Poznaniu (Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych), gdzie zyskał publiczność i prasę, wyrażającą się o jego sztuce z pełnym szacunkiem i uznaniem.

W. S.



Maciej Nehring.
Portret p. Ewy K. (akwarela).



Maciej Nehring.
Portret p. E. S. R. (akwarela.

Z KRAKOWA

„Wystawa włoska" w krakowskim Pałacu Sztuki

Różnorodność prądów i kontrastowość dzieł — oto główna cecha wystawy współczesnej sztuki włoskiej. Przyczynia się do spotęgowania tej różnorodności oryginalne rozmieszczenie dzieł nieodpowiadających sobie — obok siebie. Tak np. obok Marchig'a „Lata" powieszono Girosi'ego „Kurtyzanę", gdy pierwszy to impresjonista, zapatrzony w Böcklina, a drugi prymitywista, ignorujący zasady dotychczasowego malarstwa. Na Girosi'm, na akcie Menzio Fr. na „Gladjatorach" de Chiriko Giorgia, mamy przykłady tego działania doktryny na indywidualność artysty. Między tego rodzaju artystami, a widzem powstaje barjera, gdyż świadomy prymityw malarza, brany jest jako wyraz jego nieumiejętności malarskich. Dzieje się to tembardziej słusznie, że istotnie formiści nowsi traktują każdy obraz szkicowo, bagatelizując sobie rysunek tam, gdzie jest on rzeczą główną, harmonję barw zastępując kolorami drażniącemi nerwy wzrokowe. Naturalizm ma swoich reprezentantów w Menzio'u, w Carenie F., choć „Teatr ludowy" tego ostatniego, stylizowany na modłę naszego Żaka, wzbudza śmiech identycznością wszystkich 11 głów znajdujących się na obrazie. Śladami Picassa usiłował iść Costetti Giovanni, którego „Romantyczka" jest istną jego kopją. Takim samym naturalistycznym formistą jest Casorati Felice, mający w sobie jeszcze trochę kubistycznych naleciałości.

Ciekawą niespodzianką jest dla człowieka, który, mając na uwadze świetną przeszłość malarską i rzeźbiarską Włoch, oczekuje na doskonałość aktu, brak śmiałości, brak poza 3-ma najwyżej — czegoś, co potrafiłoby zachwycić w tym dziale, tak bogato i świetnie reprezentowanym na wystawie sztuki belgijskiej. Taki np. Carpanetti, malując dwie tęgie rzymianki w kąpieli, osłania im ciekawie białą materją tęgie biodra — jeśli zaś weźmiemy pod uwagę proporcję ciał, to natychmiast przypomina się Herakles: kolos o małej główce. Taki sam wstydliwy jest i wspomniany już Marchig z tym czerwonym skrawkiem materji — ni stąd ni zowąd — opadającym na biodra ładnie, ale sztucznie ułożonego modelu, leżącego nad brzegiem morza.

Co innego jest z aktem męskim: tu znowu podkreślono nadzwyczajnie naiwnie szerokość górnych części ciała — ale układ jakże sztywny, jakież to prymitywy w wyczuciu pracy mięśniowej, co za błędne pojmowanie charakteru w twarzy. Np. „pływak" Messiny przypomina raczej boksera, o twarzy zbitej rękawicami, o zdeformowanym nosie, zaś „skoczek" Baroni'ego — to stylizowany anioł ciemności. Humorystyczny „zakątek ringu" Montanari'ego to rodzaj nieudałego uwydatnienia grozy boksera. Ciało tego siedzącego Longinusa — to sino - czerwonawa masa. Z tych wszystkich najwięcej samodzielności wykazał Trentini Guido — przypominający do złudzenia Ślendzińskiego — tylko, że jeśli rysunkiem wybił się, to zepsuł wszystko kolorem, który poprostu razi. Ciało ludzkie nie znosi niektórych oświetleń, wygląda wtedy niesmacznie. U Trentini'ego np. wypada jak zmarznięte i zbite.

Doskonałym aktem kobiecym (cem. biały) wybił się Martini Arturo. Jest w miękkiej modelacji ciała, w tym przytulnym ruchu śpiącej, czar kobiety — jest śmiałość ujęcia, tylko razi nazwa „Mieszkanka Pizy". Tytuł ten jest za mało poetyczny jak na tę rzeźbę. Oryginalny jest „Śpiewający Orfeusz" Andreotti'ego L. Istny to młody, o smukłem ciele pasterz grecki — śpiewający usypiającą melodję. Włosi są dobrymi rzeźbiarzami zwierząt: taki chart D'Antino N. o cudnej sylwecie — „prosiak" De Wal Antoni'ego — Tofanari'ego „źrebak" to dzieła wysokowartościowe.

Portret zarówno w rzeźbie, jak i w malarstwie — potraktowany z pietyzmem. Zbiorowy portret Costetti'ego R. „Muszkieterzy Duce" zadziwia techniką wykonania i oddaniem wyrazu twarzy. Każda twarz to oryginalne idywiduum — przeżyte i odtworzone artystycznie. Ciekawy jest portret fizyka Timpanaro — śmiały — zamaszysty, a jednocześnie jak charakterystyczny. Stanowczo jednak najsilniejszy w wyrazie, w szlachetnej stylizacji futra i sukni — a pełny wdzięku obraz Cadorina Guido prof. Akad. król. w Wenecji — przedstawiający hrabinę Teę Foscari.

Monumentalne popiersie Mussoliniego, dłuta A. Wildta nie jest nadzwyczajne, już wiele lepszy jest Wiktor Emanuel III.

Pejzażyści i „rodzajowcy" giną wśród mnogości eksponatów. Niema takich krajobrazów, któreby się specjalnie wyróżniały choć wzgórze Castelveccano z białemi domami na tle zieleni, w słonecznem oświetleniu wybija się. — No wszak to praca De Bernardi Domenico! Doskonałym technikiem, czułym kolorystą jest Bisi Carlo; jego wierzby — to szczyt drobiazgowości, ale i wykonania!

Prymitywny Terzolo Carlo w zestawieniu z Fałatem, czy Filipkiewiczem straciłby cały urok swojej stylizacji.

Na zakończenie warto wspomnieć z całej plejady „martwych natur" — przepojoną ponurym nastrojem Colacichi'ego G. Właśnie przez użycie ciemnych szyszek sosny, starych lichtarzy, muszli brudnej i małej, przewróconego lusterka — zyskał efekt w owej martwej naturze coś biednego i ponurego. Inne to przeważnie: ptaki przelotne, ryby — mało kolorowe, mało wyraziste i nastrojowe.

Kto pragnie ujrzeć walkę o nowe cele ścieranie się wpływów starych z najnowszemi, kto chce wreszcie „przekonać się" do najnowszej sztuki, propagującej rewelacyjne, ale w zalążku jeszcze będące dążenia — niech spieszy na wystawę, a potem porówna oglądnięte rzeczy z polskiemi. Będzie to bardzo pouczające i pozwalające nam być optymistami — porównanie.

ANTONI ZAWADZKI.

„Literatura narodowa"

Wieczór dyskus. w krakowskiem Kole Polonistów

Krakowskie Koło Polonistów i Literatury urządziło ostatnio bardzo aktualną dyskusję na temat literatury narodowej. Temat ten jest niezwykle palący i aktualny z dwóch zwłaszcza powodów: po pierwsze w hierarchji zagadnień kultury narodowej literatura zajmuje bezsprzecznie miejsce naczelne, po drugie zaś dlatego, że właśnie literatura nasza jest posterunkiem najbardziej zagrożonym przez zalew żydowski.

W dyskusji tej miał uczestniczyć prof. Kołaczkowski, jednak z powodu grypy udział swój w ostatniej chwili odwołał. Wobec tego dyskusję zagaił prezes Koła Polonistów, członek Młodzieży Wszechpolskiej, Jan Bielatowicz, referatem o literaturze narodowej w zestawieniu z literaturą pisaną wprawdzie w języku polskim, ale wrogą naszemu duchowi; ta ostatnia reprezentowana jest przez całą plejadę pisarzy żydowskich lub pochodzenia żydowskiego. Głównemi cechami tej literatury są: pacyfizm, rewolucjonizm, pasjonizmem, oraz erotyzm, przechodzący najczęściej w sadyzm, przyczem pisarzy żydowskich cechuje zwykle zespół tych cech, występujących nierozdzielnie.

Referat, oparty na niezbitych argumentach w postaci odpowiednich cytat, stanowił doskonały wstęp do dyskusji, w której wzięli następnie udział dwaj przedstawiciele światopoglądu, jak sami oświadczyli, „marksowskiego". Byli to pp. Lech Piwowar i Adam Polewka. Obaj zgodnie twierdzili, że literatura narodowa jest fikcją, istnieje bowiem tylko literatura klasowa, burżuazyjna lub proletarjacka, będąca odbiciem warunków gospodarczych, w jakich znajduje się dana warstwa społeczna.

P. Piwowar zrobił małe ustępstwo dla literatury patrjotycznej, która jego zdaniem jest czasem potrzebna dla nas w chwilach grożącego niebezpieczeństwa zewnętrznego dla podniesienia ducha.

Pozatem zarzucali oni zarówno całemu obozowi narodowemu, jak specjalnie prezesowi Bielatowiczowi, niemożność zdefiniowania literatury narodowej. Hasło literatury narodowej uważają oni za szkodliwe zarówno dla literatury, jak i dla narodu. Zresztą, przyznają się do tego otwarcie, nie rozumieją w gruncie rzeczy co to jest takiego: naród, duch, miłość ojczyzny i inne tego rodzaju abstrakcje.

W końcu zabrał głos red. Jan Rembieliński, który w sposób głęboki, a zarazem dowcipny rozprawił się z fałszywemi twierdzeniami obydwóch swoich przedmówców. Na wstępie zaznaczył on, że nie dziwi się wcale, że p. Polewka i p. Piwowar nie rozumieją takich pojęć jak: naród, duch, miłość ojczyzny itp.; przecież już Krasicki powiedział: „Święta miłości kochanej ojczyzny, czują cię tylko umysły poczciwe".

Następnie red. Rembieliński w oparciu o cytaty zbił błędne twierdzenie, że istnieje tylko literatura klasowa, literatura nasza była prawie bez wyjątku wyrazem ducha, emanacją całego narodu; najsilniej uwydatniło się to u dwóch wieszczów, Wyspiańskiego i Norwida, którzy cierpieli za cały naród.

Definicja literatury narodowej jest najzupełniej zbędna; literaturę narodową albo się odczuwa, a więc w konsekwencji i rozumie, albo wogóle pojąć jej nie można, dlatego literatura taka w pewnym sensie, może być zrozumiała tylko dla własnego narodu. Pomiędzy literaturą narodową a patrjotyczną istnieje cała przepaść. Ta druga jest typową literaturą tendencyjną, która od biedy może być pisaną przez każdego, podczas gdy literaturę narodową może tworzyć tylko człowiek, mający organiczny związek z życiem swego narodu i z tego podłoża czerpiący natchnienie dla swej twórczości.

Wiersz Tuwima, umieszczony w „Gazecie Polskiej" w rocznicę odzyskania morza jest przykładem twórczości patrjotycznej (lub może pseudo-patrjotycznej), natomiast cała twórczość Kasprowicza, na którego wargach tak rzadko „jawił się krwią przepojony, najdroższy wyraz „Ojczyzna" jest typowo i tylko polska, narodowa.

Na pp. Tuwimów, Słonimskich, Witlinów, możemy patrzeć z uczuciem szczerej dumy, a zarazem wyższości, tak jak przedstawiciele kultury europejskiej spoglądają na Azjatów. To, że piszą w języku polskim, jest najlepszym dowodem wyższości naszej kultury i naszego języka nad żydowskim. Porównując język nasz ze swoim wybrali lepszy, bardziej rozwinięty i wyrobiony, lepiej nadający się do poetyckiego wypowiadania się. Pomimo przyjęcia naszego języka i wszystkich cech zasymilowania dla kultury polskiej pozostaną oni zawsze ciałami nietylko obcemi, lecz wrogiemi dla naszego organizmu narodowego.

Po red. Rembielińskim, przyjętym bardzo gorąco, zabierali jeszcze głos wszyscy poprzednio wymienieni mówcy oraz kilku przedstawicieli publiczności, opowiadając się albo za literaturą narodową, albo klasową. Czterogodzinną dyskusję zakończyła replika red. Rembielińskiego na wysunięte przeciwko jego twierdzeniom zarzuty, zakończona słowami: „Szukajcie prawdy, a wszystko inne będzie wam przydane!"

Dyskusja spełniła w całości swe zadanie, zarówno ze względu na wysoki naogół poziom intelektualny biorących w niej udział, jak i na rolę propagandową, jaką zawsze odgrywa tego rodzaju publiczna wymiana myśli. Wieczór ten był poważnym sukcesem młodzieży narodowej na terenie krakowskim, która między innemi, również i drogą wpływu intelektualnego zdobywa sobie coraz liczniejsze zastępy zwolenników.

M. K. DZIEWANOWSKI

IWAN BUNIN

Kadzielnica

W górach Sycylji, w zapomnianym klasztorze,
Przez ciemną świątynię, przez szczerbione płyty,
Wiódł mnie pasterz przed ołtarz w gruzy powalony
I tam widziałem: stoi nagi tron,
A przed nim w pyle, grobowo - złota,
Dawno zagasła, z dawien dawna próżna
Leży kadzielnica — wewnątrz cała czarna
Od ognia i smoły, gorejących w niej kiedyś...

Ty, serce, pełne ognia i aromatu
Nie zapomnij o niej. Zgorej do czarności.

Z rosyjskiego tłum.
J. BIELATOWICZ.

„Przyjaciel ludu". Radzi także zapisywać się do kółek rolniczych, do spółek pożyczkowych i popierać się wzajemnie.

„Wziąwszy Boga na pomoc" woła autor „trzeba nam zabrać się do pracy, do przemysłu. Trzeba nam podać sobie ręce i tak siłami połączonemi odpierać napaści, jakie nieprzyjaciele na nas wykonywać zamierzają. Wszyscy bez różnicy stanu, płci i wieku powinniśmy połączyć się węzłem jedności, miłości, bo wspólna moc zdoła nas tylko ocalić. Powinniśmy się łączyć w towarzystwach, zakładać spółki i kółka, wstępować do spółek pożyczkowych. Każdy grosz powinien być uważany jako wspólne dobro, dlatego oddawać go chętnie na cele dobro publiczne na oku mające".

Tuczyński jest gorącym przeciwnikiem emigracji do Ameryki, widzi w niej wielkie niebezpieczeństwo, grożące polskiemu stanowi posiadania i ludowi polskiemu. System kolonizacyjny pogarszał coraz bardziej warunki gospodarcze, a chłop polski, borykając się z biedą, chętnie dawał posłuch rozszerzanym przez Niemców opowiadaniom o dobrobycie i szczęściu, czekającym każdego, kto jedzie do Ameryki. Barwne plakaty w karczmach i na dworcach zachęcały do emigrowania na drugą półkulę, obiecywały pracę i bogactwo. Pokusa była wielka, rozpoczęła się więc masowa emigracja „po złoto".

Przeciw wychodźtwu wystąpiły gazety, przedstawiając prawdziwe stosunki w Ameryce — ciężką pracę i wyzysk, wystąpili księża, którzy z ambon ostrzegali przed opuszczaniem kraju i zatratą duszy na obczyźnie. Tuczyński w trosce o lud pisze wtedy „Szczęście w Ameryce — powieść dla ochotników do Ameryki z prawdziwych zdarzeń spisana przez wychodźcę" i „Raj za morzem". Dolę emigrantów przedstawia w ponurych obrazach, chcąc zachwiać w ludzie wiarę w prawdziwość szumnych reklam i zachęcić do wytrwania przy ziemi rodzinnej.

W ten sposób daje Tuczyński w swych powieściach ludowych wyraz ówczesnym ideałom i dążeniom społeczeństwa, oraz szerzy hasła wielkich społeczników — twórców kółek rolniczych, banków kredytowych, czytelni ludowych.

Wzrastające zamiłowanie do dziejów Polski, poczytność książek historycznych, czynią Tuczyńskiego popularnym pisarzem historycznym. Powieści jego, cieszące się niesłychaną poczytnością, szerzą zamiłowanie do dziejów ojczystych, popularyzują naukę historji wśród szerokich warstw. Najbardziej znane powieści historyczne to: „Na Krzyżówce" (1885), „Pomorzanie w „Gąsawie" (1885), „Mazepa" (1886), „Pustelnik z Czarnej Doliny" (1896), „Wernyhora" (1886). Pierwsze dwie powieści osnute są na czasach średniowiecznych, przyczem w powieści „Pomorzanie w Gąsawie" zaznacza się silny wpływ „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. „Pustelnik z Czarnej Doliny" i „Wernyhora" mają za tło czasy konfederacji barskiej. „Wernyhora" nie jest oryginalną powieścią Tuczyńskiego, lecz przeróbka z Czajkowskiego; uważając język Czajkowskiego za niezrozumiały dla ludu, uprzystępnia Tuczyński tę powieść swym czytelnikom przez własne opracowanie.

Tuczyński nietylko poucza swój lud, ale i zabawia, pisząc liczne humoreski i bajki. Wśród tego działu wyróżnia się „Kasper Pokraka, sowizdrzał polski" (wyd. 4, 1900), cieszący się niebywałem powodzeniem.

Cel niesienia oświaty ludowi znajduje szczególny wyraz w pracach popularno - naukowych. Zainteresowania autora idą przedewszystkiem w kierunku przyrody i geografji, a skala oczytania w tej dziedzinie jest bardzo szeroka.

Początkowo umieszcza Tuczyński artykuły popularno - naukowe na łamach czasopisma „Oświata". Znajdujemy tu artykuły o kawie, herbacie, diamentach, analizie spektralnej, cudach świata, wynalazkach itp. Pozatem opisuje Tuczyński podróże do Ameryki, Australji, a zagadnieniu morza poświęca osobną książkę pt. „Morze, zjawiska i życie w niem i na niem" (1883). Dużem powodzeniem cieszyły się „Pogadanki o gwiazdach" (1876), napisane w sposób przystępny i ciekawy.

Powieści i opowiadania Tuczyńskiego znajdowały chętnych nakładców wśród drukarzy poznańskich: Chocieszyńskiego, Żupańskiego, Leitgebera, Simona. Wydawnictwo dobrych i tanich książek im. ks. Fr. Bażyńskiego polecało je i rozszerzało wśród ludu przez bibljoteki ludowe. O poczytności zaś świadczą kilkakrotne nieraz wydania niektórych powieści i sprawozdania bibljotek ludowych.

Trzecim działem twórczości Tuczyńskiego to praca dziennikarsko - polityczna, w której pisarz daje wyraz swym dążeniom nad narodowem wychowaniem społeczeństwa i politycznem jego wyrobieniem, nie bacząc na liczne grzywny i kary więzienia.

O prawa dla narodu polskiego walczy w artykule: „Nasze prawa pod zaborem pruskim", umieszczonym w 3 nr. „Wielkopolanina" z r. 1883. Podnosi znaczenie konstytucji 3 maja, wierzy, że „tchnąć miłością ojczyzny, przywiązaniem do wiary katolickiej i zamiłowaniem do pracy nie zginiemy". 17 nr. „Wielkopolanina" zawiera artykuł „Jak u nas być powinno", w którym autor ostro występuje przeciwko odbieraniu Polakom praw, domaga się wolności mowy polskiej i polskich urzędników.

Każdy kierunek pracy literackiej Tuczyńskiego, czy na polu powieści i prac popularno - naukowych, czy w prasie, opanowany jest jedną troską, jednym celem: polepszeniem doli ludu, oświeceniem go i wzbudzeniem w nim uczuć patrjotycznych.

Obdarzony bujną fantazją i świetnym talentem pisarza ludowego, wielce oczytany i interesujący się najrozmaitszemi dziedzinami nauki, poucza i zabawia swych czytelników powieściami i rozprawami w formie bardzo przystępnej i ciekawej.

Najbliższe otoczenie, więc lud, z którym łączy go pochodzenie i 12-letnia praca nauczycielska, staje się przedmiotem jego twórczości. Pisze o nim i dla niego. Posiada Tuczyński styl jasny i prosty, maluje w słowach szczerych i pięknych krajobraz polski, przedstawia z prostotą i naiwnością uczucia bohaterów i ich przeżycia. Znając upodobania i zainteresowania swego czytelnika umie do niego przemówić, dostarcza mu wrażeń, pociąga w krainę fantazji. Uczy przytem ukochania mowy ojczystej, przywiązania do ziemi ojców, do wiary katolickiej.

Te wszystkie cechy twórczości Franciszka Ksawerego Tuczyńskiego oraz łączność z całym ówczesnym kierunkiem pracy nad ludem, rozmaitość poruszanych dziedzin, wysuwają go na jedno z pierwszych, czołowych miejsc w plejadzie wielkopolskich pisarzy ludowych. Działalności jego i zasługi stanowią bardzo cenny wkład do gmachu duchowej pracy społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim w dążeniu do przelania zorganizowanej obrony narodowości na najszersze warstwy.

Pan IKaCy chce wygrać...



Asem go!

ŚWIAT W MAŁYM PALUSZKU

(F r a s z k i)

WSTĘP DO CYKLU FRASZEK

Czytelnik, wertując gazetę,
przeczytał wstępny artykuł,
dział polityczny, ankietę
i różnych nowości bez liku.

Również bandytów kilku-
studjował, bo to rzecz ważka.
Spotkawszy fraszkę, rzekł tylko:
„E, to jest nic, to fraszka!“

Lecz marginesy powstały
Z wielkiem wzburzeniem: „O, duszko!
we fraszce jest tak, że świat cały
w jednym się mieści paluszku“.

NIEZAGRANA PARTJA.

Nie będę grał — tak mówi jeden.
Nie będę grał — tak mówi drugi.
Nie będę grał — tak mówią wszyscy.
...A na ich czołach... namiętne smugi...

I jednak... Z białemi stanął Mussolini,
z czarnemi Haile Selassie I.
Grożą i krzyczą, awanturują,
do skoku biorą oddech szerszy.

„Zrobię ci szach!“ „Dam ci mata!“
„Mobilizacja!“ „Prośmy Pana!“
Krzyczą na wiatr, Tra - ta - tra - ta - ta.
Koniec. I partja... niezagrana.

MODLITWA O WOJNĘ.

Pełno na świecie płaczu,
pełno na świecie krzyku:
chcieli się bić w Abisynji,
a teraz rżną się w Grecji i Meksyku.

Proszę Cię przeto, Boże,
o jeszcze jedną wojnę:
niech wyrżną się ci wszyscy,
co żyć nie mogą spokojnie.

Niech wyrżną się ci wszyscy,
co winni są ludzkim płaczom;
lecz niechaj w dom mój nie spadnie
żaden odłamek kartacza...

LEONARD TURKOWSKI

Z TEATRU

Teatr Polski

TEATR POLSKI — „Studentka“, sztuka w 8 obrazach Vicki Baum. Dla sceny przystosowana przez Hannę Kozłowską i Zofję Modrzewską. Reżyserja Heleny Arkawin. Dekoracje Z. Szpingiera.

Recenzje z tej sztuki, jakie ukazały się w miejscowych pismach, wydają mi się zbyt pesymistyczne. Podkreślano brak pogłębienia psychologicznego i przeładowanie momentami drastycznemi. Odmawiano sztuce większych walorów. Całkiem niesłusznie. „Studentka“ stanowi silną pozycję w repertuarze Teatru Polskiego — zarówno ze względu na swe immanentne wartości jak i na inscenizację.

Budowa niezwykle zwarta, skondensowana. W dużej mierze zasługa to niewątpliwie inscenizatorek. Tematyka nawskros nowoczesna. Dwudziestoletnia studentka chemji traci ojca i pozostaje sama, zdana na własne siły. Nie upada, postanawia z uporem przedzierać się przez studja. Chce iść — biedna dziewczyna — przez życie najkrótszą drogą. Jej profesor, Ambrosius ma jednak inną filozofję: przez życie trzeba iść drogami okólnemi. To jest najbardziej skuteczne. Niebawem doświadcza na sobie samej, jak ta jej dewiza bierze w łeb.

Kocha się w studencie medycyny, Rejnerze. Studentka i Rejner, to charaktery biegunowo sobie przeciwne, złączone miłością. On — mistyk, marzyciel, człowiek, noszący w sobie zaródź śmierci i tęsknotę za nią, ona — natura silna, zdrowa, instynktowa, przepełniona witalizmem. Oto teraz nosi owoc tej miłości. Ale nie chce go wydać na świat. Dziecko to będzie prawdziwą klęską dla niej. Szuka rozpaczliwie środków zapobiegawczych. Gdzież jest ta prosta droga, którą zamierzała kroczyć? Jednak prawo jest nieubłagane. Nikt jej też porad nie udziela.

Jednocześnie w Rejnerze pod wpływem wspólnych przeżyć dojrzewa pragnienie śmierci. Postanawiają oboje umrzeć, jakby chcieli spełnić wolę owego bożka japońskiego, bożka kochanków, umierających dobrowolnie, bo za życia połączyć się nie mogli. W wspaniałej scenie wieczoru w lesie, wśród bicia dzwonów kościelnych prowadzą swój ostatni djalog miłosny. Studentka nie boi się śmierci, ale to jej się tylko wydaje. Wkońcu Rejner wstrzykuje sobie odpowiednio silną dawkę morfiny i skolei chce to samo zrobić ukochanej. Lecz w tej nagle obudził się potężny instynkt życia. Ogarnięta paniczną trwogą przed śmiercią, ucieka przed nią, pozostawiając jej Reinera.

Z tą chwilą akcja nabiera charakteru zdecydowanie kryminalno - sensacyjnego. Studentka oskarżona została przed sądem o zabójstwo Reinera. Długie dochodzenia ujawniły wreszcie jej niewinność. Studentka, obdarzona dzieckiem, kończy w potwornych warunkach studja, zyskuje dyplom, by otrzymać dzięki swemu protektorowi, prof. Ambroziusowi, miejsce asystentki u słynnego, lecz zwarjowanego napoły profesora biochemji.

Prof. Ambrozius nie jest szczęśliwy. Porzuciła go żona niezadowolona z małżonka dla życia lekkiego, dla praw swego ciała, których — jak sama mówiła — nie złamie żadna wola. Sztuka - powieść kończy się tak: W dziesięć lat po śmierci Reinera dawna studentka dokonuje wynalazku odmładzania, który czyni ją sławną i bogatą. Teraz odwiedza ją prof. Ambrozius, wyleczony radykalnie z rozpaczy za żoną. Zrozumieli oboje, że dość już nachodzili się okólnemi drogami. Teraz chcą iść przez życie wprost, na przełaj i — pobierają się.

Można mieć dużo zarzutów co do motywacji tego zasadniczego wątka akcji i co do kompozycji sztuki. Jednak „Studentka“ wywiera niemałe wrażenie. Otwiera przed oczyma widza okna na inny świat, tak niewspółmierny z tym, w jakim się obracamy, świata, do którego wprowadza każde prawdziwe dzieło sztuki. I w tem leży wielka wartość „Studentki“.

Charaktery, których cała galerja, narysowane są śmiało, zdecydowanie, ciekawie, przekonywująco. Takie postacie jak studentki archeologji, Reinera, jego ojca, Kranicha, a przedewszystkiem „studentki“ dają niesłychanie dużo satysfakcji. Wiele scen tchnie prawdą i życiem. Na szczególne podkreślenie zasługują sceny: rozmowy Reinera z ojcem, śmierci Reinera, scena w sądzie.

Momenty drastyczne w sztuce, jeżeli są, to w każdym razie nie rażą. Snać przełamują je walory par excellence estetyczne. A i sensacyjność sztuki, osłabiająca zazwyczaj w dużym stopniu artyzm, tutaj nie bije w oczy, służąc tylko za podłoże dla elementów wyższego rodzaju, które emanują w dużej sile ze „Studentki“.

W tem, co pisaliśmy o sztuce samej, zawiera się jednocześnie nasze stanowisko wobec gry aktorów. O Ludwiżance nie potrzeba pisać dużo. Jej „studentka“ nie pozwala wogóle przyjść do głowy myśli, by ta rola była dla niej przykra i nieodpowiednia. Z całego zespołu ona jedynie i tylko ona mogła grać studentkę. W swej ostatniej roli potrafiła wygrać całą gamę swego wspaniałego talentu. Dzięki niej psychologja „studentki“ uderzała wprost głębią i realizmem (zwłaszcza w scenie trwogi przed śmiercią). Ambrozius Hańczy, dr. Reiner Noskowskiego, Ivonna Pastouri Zasadzianki, Kranich Plucińskiego, Reiner Kierczyńskiego i in. dostrajali się do poziomu, na którym stała rola główna. Wogóle pod adresem inscenizacji nie można mieć żadnych zastrzeżeń. Dekoracje Szpingiera jak zwykle dobre. Reżyserja H. Arkawin starannie wypracowana. Oklaski publiczności częste, lecz — wstydliwe. Czyżby się żenowała?

Remigjusz Ney.

POZNAŃ W KARYKATURZE



Jerzy Popkowski. Prezes Leopold Hebda.



Henryk Smuczyński.
Redaktor Stefan Wyrzykowski.

Opera

XI. Koncert symfoniczny — Kraina uśmiechu — Nieszpory sycylijskie

XI. koncert poświęcony był w I-ej części Kurpińskiemu i Bachowi z racji jubileuszów 150-lecia i 250-lecia tych dwu znakomitych kompozytorów. Na wstępie wykonano uwerturę do opery Kurpińskiego „Ruiny Babilonu“. Reszta I-ej części koncertu obejmowała wielką muzykę Bacha. Odegrano „Preludjum, chorał i fugę“, oraz „Koncert f-moll“ (na klawesyn z orkiestrą), będący właściwie transpozycją jego koncertu skrzypcowego g-moll.

Solistką wieczoru była p. Trombini - Kazuro, która wykazała dużą technikę, podkreślając barwne efekty dźwiękowe, właściwe klawesynowi.

Zakończeniem koncertu była V. symfonja Czajkowskiego. Całość poprowadził sprawnie i umiejętnie świetny kapelmistrz warszawski Józef Oziminski, mogący się poszczycić wielką rutyną oraz doskonałem opanowaniem kapelmistrzowskiego „metier“.

Jeżeli scena operowa ucieka się zbyt często do przedstawień operetkowych, widowisk o treści przeważnie płytkiej i banalnej, — czyni to chyba jedynie dzięki małej frekwencji publiczności na przedstawieniach operowych. Smutne to i godne ubolewania, że te ostatnie, a zwłaszcza polskie, znajdują bardzo znikomy odsetek swych „odbiorców“, zmuszając dyrekcję do tego, by w zapomnieniu leżały arcydzieła tej miary, co „Eros i Psyche“, lub „Halka“, „Straszny dwór“, czy też „Hrabina“, lub piękne „Verbum nobile“, wystawione zaledwie raz 1 w bieżącym sezonie.

Oczywiście, że jedną z przyczyn, wpływających na pominięcie (może chwilowe) rodzimego repertuaru operowego jest ta, że brak nam solistów, a zwłaszcza tenorów, ale możeby się jednak dało przypomnieć czasem społeczeństwu, a w szczególności naszej młodzieży (nietylko w czasie świąt narodowych), że posiadamy bardzo bogatą twórczość muzyczno - operową, przemawiającą do naszych dusz najlepiej i najserdeczniej.

Ze wszystkich operetek, jakie usłyszeliśmy w bieżącym sezonie, wysuwa się niewątpliwie na pierwsze miejsce odegrana ostatnio „Kraina uśmiechu“ Lehara. Powiedziałbym, że treść tej operetki nic nie ma w sobie z „uśmiechu“, lub raczej ma uśmiech zwodniczy, bo „Kraina“, w której rozgrywa się tragedja dwojga małżonków, (europejki Lizy i księcia chińskiego Sou - Chonga), oraz małej Mi, jest krainą niezbadanych dla europejczyka tajemnic, owianą słonecznym egzotyzmem i dziwnym czarem wschodu, pryskającym pod wpływem złowróżbnego odezwania się chińskiego gongu. I muzyka, i treść tej „Krainy“ są ściśle ze sobą zespolone, oparte na głębszych przesłankach czysto romantycznych, pięknie uwydatnionych zarówno przez Lehara, jak i librecistów. Wspaniała, liryczna ilustracja muzyczna, wpadająca niekiedy w sferę głębokiego tragizmu, daje najpełniejsze zadowolenie artystyczno - słuchowe, a smutna opowieść, poczynająca się słonecznie w Wiedniu, znajduje swój tragiczny epilog w pałacu księcia Sou - Chonga w Pekinie, wywołując zrozumiałe współczucie zarówno dla Lizy i księcia, jak i dla małej Mi.

Czarującą hrabianką Lizą była p. Dudiczówna. Z roli księcia wywiązał się ładnie p. Czarnecki. Na wyróżnienie poza tem zasługują pp.: Musielewska (Mi), Warchalewski (Tschang), Cirin (hrabia Lichtenfels), Sokołowski (eunuch), oraz bajeczny, pełen werwy i humoru p. Sendecki. Jemu też należy się kilka słów podzięki za estetyczne i „barwne“ wyreżyserowanie „Krainy uśmiechu“. Całość — na tle bardzo efektownych, stylowych dekoracyj p. Szpingiera. Popisy baletu, może przydługie, — pod kierunkiem p. Statkiewicza. Operetkę prowadził ładnie i zręcznie p. Buchwald.

Wystawiona ostatnio po raz 1. w Polsce opera Verdi'ego „Nieszpory sycylijskie“ opracowana została bardzo starannie zarówno pod względem muzycznym, jak i reżyserskim oraz dekoracyjnym. Całość prowadził kapelmistrz Barański, ktory znakomicie przygotował zespoły chóralne, mające w „Nieszporach“ dość trudne zadanie. Umiejętna reżyserja p. Janowskiej - Kopczyńskiej oraz efektowne, stylowe dekoracje sprawiły, że całość wywarła bardzo miłe wrażenie również pod względem optycznym. Balet — nieco przeładowany niepotrzebnemi ewolucjami, zwłaszcza w „Jesieni“. Główne role kreowali pp.: Cywińska (ks. Helena), Peter (Arrigo), Karpacki (hr. de Montfort), Warchalewski (de Bethune), Urbanowicz (da Procida), oraz Majchrzakówna, Granowski, Gruszczyński i Szpingier.

Pp. Cywińska i Peter wykazali umiejętne opanowanie partyj głosowych i trudnych ról, stwarzając dużo pięknych momentów w czasie całej akcji.

Również trafnie wywiązali się ze swego zadania pp. Karpacki i Szpingier.

MARJAN ŁEBKOWSKI.

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 7 zł. półrocznie 3,50 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł. 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony 90 zł. 1/4 strony — 70 zł. 1/8 strony — 40 zł. 1/10 strony — 30 zł.

Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Zygmunt Sterminski, w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań, Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Sieciechowicz, Warszawa.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.